Nr. 8. Lwów, Niedziela dnia 22. Października 1876 r. **Tom IV.**



ROK III.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

VIII.

Nauka języka polskiego w szkołach średnich.

II. Po czytaniu pomników dawnej polszczyzny, następuje czytanie wyjątków z różnych pisarzy polskich. Wyjątki te niezbyt fortunnie wybrane w 2giej części tomu I, a do tego umieszczone bez porządku i bez względu na epoki i okresy historji literatury, tak — że nauczyciel przeskakiwać musi po książce, chcąc czytać z uczniami autorów podług porządku chronologicznego. Plan naukowy nakazuje obok czytania wyjątków z różnych pisarzy, podawać uczniom tak zwane: *Literar-historische Notizen*, ku czemu służą dla ucznia notatki literacko-historyczne, pomieszczone na początku serji wyjątków z pism autora, w wypisach uwzględnionego. Notatki te atoli nie są do potrzeb ucznia zastosowane, nie są opracowane według stopnia jego rozwoju umysłowego, jeno żywcem wykrojone z dzieł różnych historyków literatury, przeważnie z Siarczyńskiego, gdzie niegdzie z Mickiewicza i t. d.

Łatwo pojąć, że z jednej strony za trudne są dla ucznia gimnazjalnego, z drugiej strony za mało rzecz wyczerpujące — bo nie podają całego obrazu działalności pisarskiej jakiegoś autora, jeno krytyczny pogląd na to lub owe dzieło. Obok tych przypisków, poleconą jest historja literatury Kuliczkowskiego, którą się też nauczyciele posługiwać zwykli. Książka ta nie jest jednak *przepisaną*, a więc nauczyciel nie może domagać się aby ją uczeń posiadał i zniewolonym się widzi dyktować, aby dać uczniom pojęcie o *całości* dziejów literatury polskiej. Tym sposobem znowu posiada uczeń książkę drogo opłaconą, która tylko w połowie i to nie dokładnie odpowiada celowi — posiada owe wypisy nieszczęsne, których część literacko-historyczna żadnej dla niego nie ma wartości.

Dlaczegoż W. Rada szkolna nie postara się o wypisy, któreby albo wcale nie zawierały części literacko-historycznej, jeno podług okresów ułożone wyjątki z autorów, a w takim razie książka Kuliczkowskiego mogłaby zostać *przepisaną* do nauki literatury, — albo też o wypisy takie, w którychby na kształt wypisów niemieckich Gera mieścił się krótki rys literatury każdego okresu z osobna, a przy każdym autorze specjalnie dla uczniów opracowany pogląd na działalność jego pisarską?

Rzućmy okiem na ostatni tom tych wypisów. Pożal się Boże nad doborem treści! Wszakże układano je za systemu najsroższego absolutyzmu i niemal przed trzydziestu laty. Ze Słowackiego, z Krasińskiego, z pisarzy nowszych nic tam nie ma, ani okruszyny. Nauczyciel musi przynosić z sobą książki do szkoły i czytać uczniom wyjątki z nowszych pisarzy, bo w wypisach ich nie ma. I po cóż te wypisy? Tutaj znowu sam sobie zostawiony nauczyciel, nie zawsze ma stosowną i potrzebną książkę pod ręką, nie zawsze umie dobry zrobić wybór, nie zawsze się odważa na to i boi się jakiego zarzutu, o który tak łatwo, gdy natrętne plotkarstwo wciska się drzwiami i oknami do Rady szkolnej i alarmuje ją najfałszywiej. Z obawy, ogranicza się na tem co się znajduje w wypisach, a młodzież ze zdziwieniem słucha, co się jej po za szkołą obija o uszy o Krasińskim, Słowackim i t. d.

Przepisaną jest nauka o prozie i poezji. Naczyciel obowiązanym jest wyjaśniać uczniowi pojęcie różnych rodzajów i jednej i drugiej. Nie ma atoli żadnej książki szkolnej, jeno prawem zwyczaju tak nauczyciele jak i uczniowie posługują się Cegielskim. Mimo różnych zalet, jakie teorja tego autora posiada, przyznać należy, że dla szkoły jest nie przydatną — bo i za obszernie opracowana i definicje gubią się w potokach pięknych frazesów, tak, że uczeń żadnego z nich wysnuć nie może pojęcia. Co do nauki o prozie, to już zupełnie nic a nic nie ma w użyciu. Rymarkiewicz mało komu znany.

Tak więc nauka i o prozie i o poezji zdaną jest zupełnie na łaskę i niełaskę nauczyciela. *Quod capita tot census*, co głowa to rozum, więc nie dziw, że nauczyciel uczący w klasie VI a. zupełnie inne podaje definicje, zupełnie inaczej wyjaśnia — niż inny uczący w tym samym zakładzie w kl. VI b. Uczniowie ci schodzą się razem w kl. VII, przybywa nowy nauczyciel polskiego języka i zapytuje uczniów o cokolwiek z przedmiotu w klasie VI wziętego. Dzieje się, że uczeń, który był w kl. VI a. zupełnie inną daje odpowiedź od byłego ucznia kl. VI b. Najczęściej nie zgadza się nauczyciel ani na jedno, ani na drugie i podaje trzecią własną definicję, obalając tem samem naukę obu swych poprzedników. Cóż to za chaos z tego powstaje!

A ileż to przytem naplątać się może niedorzeczności!...

Podnosimy tę sprawę, aby wykazać, że nie właściwą jest rzeczą zostawianie jakiejkolwiek nauki na łasce nauczycieli, bez dania książki szkolnej, która by dla nich była kierownikiem w nauczaniu i podstawą.

W klasach niższych, gdzie i wypisy nowszego wydania poprawione i gdzie z doskonałą gramatyką Małeckiego nauczyciel ma do czynienia, rozwija się nauka języka polskiego prawidłowo, w wyższych klasach atoli, chaos panuje ogromny— marnowanie grosza na bezużyteczne książki, bałamucenie młodzieży i nic nie pozostaje, jak tylko powiedzieć z Ciceronem: *Quousque tandem* W. Rada szkolna obojętnie patrzeć na to będzie?

Wierni programowi luźnych uwag, których celem rzucać myśli o sprawach najważniejszych, rozprawiliśmy się pobieżnie z tem wszystkiem, gotowi do dyskusji wyczerpującej w innym dziale pisma naszego. Zastrzegamy sobie prawo postawienia czegoś dodatniego i w jednym z najbliższych numerów pozwolimy sobie rzucić myśl, jakiemi powinne być „Wypisy“ — i jakby do ich zredagowania dojść można.

ŻELIGA.

Powieść

JÓZEFA JGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Zdumieli się niezmiernie wchodząc, gdyż izba gospody wcale niepodobną była do zwykłych najwystawniejszych nawet pokojów gościnnych.

Sciany jej całe wybite były makatami tureckiemi od góry do dołu; podłoga zarzucona zielenią i kwiatami, przy drzwiach pęki świec woskowych w lichtarzach pozłocistych rozlewały światło rzęsiste na salkę istotnie wspaniale wyglądającą. Po kątach w chińskich wazonach ogromnych stały bukiety olbrzymie, w pośrodku stół przepysznie przystrojony. Zdobiła go srebrna waza, posążki porcelanowe, wiązki kwiatów w kryształowych naczyniach i nader wspaniała zastawa stołowa. W kącie jaśniał kredens od półmisków srebrnych, czasz, puharów, nalewek i stosów talerzy. Za krzesłami stali służący w liberji szafirowej z żółtem.

Biedna p. Marcinowa w swej sukni podróżnej nader skromnej, p. Marcin w kitlu płóciennym ze skórzanym pasem, panna Agnieszka w perkaliku w kwiaty, Justysia w prostej białej sukience zmięszane się uczuły w obec tego przepychu; zawachały się nieco w progu.

— Ale mój mości dobrodzieju! — rzekł Barciński — jeśli już tak biednych ludzi chcecie konfundować pańskiemi magnificencjami, to pozwólcież byśmy się trochę z podróżnego pyłu otrzęśli i przebrali.

— Wszakże państwo jesteście w gospodzie i jak u siebie, czyńcie więc jak się podoba, ale powtarzam, że nic ich to obchodzić nie powinno. Jeślibym ja był zawadą i mógł inkomodować, ustąpię chętnie choć z żalem...

— Ale nie, — zawołał pan Marcin — tylko...

— Państwo będziecie sami, a ja pierwszym ich sługą.

To mówiąc skłonił się grzecznie, a że panie szeptały chcąc się nieco przystroić, otworzył boczne drzwi do pokoju, który dla nich był przygotowany.

I tu paliły się świece, dywanami pozaścielane były siedzenia i wszystko co w wygodzie służyć mogło, znajdowało się.

Pan Marcin pomięszany, zdumiony, przejęty, patrzał, oczom nie wierzył i łzy mu się kręciły pod powieką.

Gdy panie poszły się nieco przebrać, zostawszy sam na sam z młodym człowiekiem ujął go pod rękę i począł powoli rozpytywać się o Żeligę, ale zaraz na pierwsze słowo siostrzeniec odparł żywo:

— Co się tyczy wuja mojego, nie dozwolono mi wiele objaśnić pana stolnika, chce on sam mieć przyjemność wszystkie swoje dziwactwa, jak je zowie, wytłumaczyć... muszę więc zamilczyć prawie...

— Jak to? nawet jego nazwiska wiedzieć nie możemy?

— Niestety... właśnie go powiedzieć nie mam prawa... Mam tylko zlecenie prosić stolnika, abyś był cierpliwym jeszcze... i za złe mu tego nie poczytywał.

P. Marcin skłonił się milczący.

Przerwana tak w najinteresowniejszym początku rozmowa z trudnością się mogła skleić, gdyż jedyny jej przedmiot został z niej wykluczonym. Poszli prawie milczący przechadzać się oczekując na kobiety, które tymczasem co krok jakieś spotykały w swym pokoju niespodzianki, ukrytą ręką przygotowane. Justysia wianuszek niezapominajek, pani Marcinowa jakiś przysmak który lubiła, panna Agnieszka osobny bukiet kwiatów uwiązany wstęgą, na której wyszyte było jej imię. Na małym stoliczku stało puzderko gdańskie z wódkami, do których przywykł był p. Marcin, z kieliszkiem tąkiego rozmiaru jak używany był w Barcinie i przy nim olbrzymi złocony piernik toruński.

P. Marcinowa wykrzykiwała co chwila, ale się nie pomału gniewała na Żeligę że sam się im pokazać nie chciał.

Po długich przyborach dano do stołu; zebrali się wszyscy i zasiedli, trafem młody chłopak przy Justysi... która od razu była z nim jak z bardzo dobrym znajomym. Poczęli rozmowę od kwiatków, a że do niej nie wiele im było potrzeba wątku, snuła się wesoło i ochoczo. Znać było, że wieczerzę zapewne nie p. Pastuski gotował, była bowiem aż do zbytku wytworną. A ryby w podziwienie wprawiały p. Marcina, który je bardzo lubił. Pieczeń była z daniela, po niej nastąpił deser, cukry i sztucznie przechowane owoce.. słowem króla by było można u stołu tego posadzić, nawet takiego smakosza, jak Stanisław Poniatowski.

Gdy po tej cichej uczcie wstali znużeni wypiwszy zdrowie Żeligi starym węgrzynem z omszonych butelek, młody człowiek pożegnał gości, i oświadczył, że nie chcąc im być na zawadzie do spoczynku, natychmiast odjeżdża...

Prosił go p. Marcin, aby wujowi wdzięczność za tak miłą niespodziankę oświadczył i odprowadził młodego człowieka do sieni... Panie weszły do swojego pokoju... Barciński chciał dopilnować się i tym razem zaspokoić swą ciekawość, sam lub przez służbę rozpytując ludzi i gospodarza.

— O! teraz to mi się nie wyśliźnie — rzekł — już po tajemnicy, ktoś się tu wygadać musi przecie.

Gdy młody człowiek chodził jeszcze przed gospodą czekając na konie z panem Marcinem, ludzie stół, makaty, światło i przyrządy kuchenne w mgnieniu oka popakowali i raz jeszcze uścisnąwszy Barcińskiego młody chłopak skoczył na wózek lekki, który nań czekał, puszczając się w las drogą...

Z żywą niespokojnością pobiegł pan Marcin do gospody, w której drzwiach zetknął się z zadumanym gospodarzem panem Pastuskim.

— Powiedzże mi wasze — rzekł — bo dalipan już mnie niecierpliwość bierze, kto to był ten młody człowiek? czyj to dwór? ludzie?

— Z przeproszeniem JW. pana — odparł Pastuski zdejmując szlałmycę, alboż to nie J. W. pana ludzie i dwór odjechał?

— Jak to? mój? ale cóż znowu?

— Ale bo oni się mienili być ludźmi stolnika Barcińskiego.

— Jak to? waszmość ich nie znasz?

— Ja? pierwszy raz widziałem w życiu.

— A zkądże przybyli?

— Powiedzieli mi, że jadą z pod Chełma dla przygotowania przyjęcia pod przyjazd JW. pana.

Stolnik osłupiał, ale mu bardzo zrobiło się markotno.

— Komedja jakaś, czy co? tfu! cóż u kaduka!

Gospodarz patrzał nań z jakąś miną pół głupkowatą pół chytrą.

P. Marcin dobył dukata i wcisnął mu go w rękę.

— No gadaj bo wasze — rzekł — nie bałamuć.

— Radbym z duszy coś powiedzieć... ale istotnie... istotnie nic nadto nie wiem. com miał szczęście mówić.

Popatrzał jeszcze Barciński na niego, ale nie było sposobu nic dobyć, powrócił więc do żony dosyć kwaśny.

— Wszystko to śliczne i piękne, ale po cóż jeszcze sekreta? przecież widzimy że magnat... a z imieniem się tai. Wystaw sobie jejmość, serce najdroższe, wszak to gospodarz udaje czy istotnie... kto go tam zrozumie,—nie wie nic zkąd to się wzięło. To moja dobrodziejko, czysto jak w bajce... czarodziejstwo, stół, sługi, makaty, srebra... wszystko znikło...

I otworzył p. Marcin drzwi od jadalni, z której w istocie z dawnego stroju zostały tylko porozrzucane kupy pachnących kwiatów, a na stole wielki kosz pokryty białemi serwetami.

Do kosza pobiegły kobiety, ale nic w nim nie znalazły prócz zapasów podróżnych, bułek, wędlin, pieczystego, win itp.

Panna Agnieszka, która dotąd ciągle była milczącą i zamyśloną, chwyciła bardzo ciekawie za bieliznę, sądząc, że na niej znajdzie cyfrę, znak lub jakąś poszlakę pochodzenia.

Ale i to oczekiwanie zawiodło, wszystkie cztery rogi były czyste, na jednym tylko ślad pozostał jakiś wyprutych starannie hieroglifów.

— Bądź co bądź — odezwał się siadając na ławie pan Marcin, — los nam dał zetknąć się z jakimś bardzo możnym człowiekiem, ale dziwak też niepospolity. Uważałaś asindźka srebra?

— Widziała mama malowanie na porcelanie? dodała Justysia.

— Czy państwo spostrzegli wspaniałe chińskie naczynia w których były kwiaty?

— A sztućce do deseru przy końcu, podawali złote! — ozwała się pani Marcinowa.

— Zgadnij Jezu kto cię bije! — westchnął p. Marcin — dalipan okrutnym być potrzeba, żeby tak ludzi drażnić i nie zaspokoić ich słusznej ciekawości.

— Ale któż to wie? — odezwała się nieśmiało i z cicha panna Agnieszka, mnie się zdaje, że nie może tego czynić dla fantazji, musi mieć słuszne powody...

— Dziwactwo je zawsze wynajdzie! — rzekł Barciński — mnie to już nudzi, moje państwo... i trochę się gniewam, bo go ko-

cham, bom mu wdzięczen, a tak się mi kryje jakby siebie lub nas się wstydził.

— A ja powiadam, bądź serce cierpliwy — odezwała się pani Marcinowa — wszystko się w porę wyjaśni i roztłumaczy.

— Ja także — dodała Justysia.

— O! i ja też! — szepnęła Agnieszka.

— Moście kobiety — rzekł p. Marcin, — wam w to graj, żeby cudami samemi życie się plotło, ja wolę to, co rozumiem i co jasne jak słońce.

Na tem skończyła sie rozmowa, rozeszli się wszyscy, aby nazajutrz wstać rano i stanąć nie zbyt późną porą w stolicy, do której przyjazd w nocy dla nieznajomych był niewygodnym.

Zostawał im na pół drogi jeszcze jeden popas, bo ciągle swojemi jadąc końmi, musiano ich oszczędzać, a nikt tak, nawet powozowych nie żałował jak Barciński.

Słońce przygrzewało mocno, co na wieczór zdawało się grozić burzą, konie szły po piaskach jak w pługu, a karczmy jakoś widać nie było, choć u nas prędzej ich za wiele niż za mało stało po gościńcach, wszelkiego rodzaju, począwszy od chaty z wódką aż do austerji z miodem. Barciński pochmurny, zadumany siedział w kolebce, bo go droga nużyła, a jeszcze bardziej nieustanny spór z woźnicą, który mu nigdy dogodzić nie umiał. Miał bowiem w tem nie dobry zwyczaj, że nie powożąc sam, bo by to godności jego ublіżało, ciągle wszakże mięszał się do koni. Nieszczęśliwy Hryszko furman był już z tem obeznany i milczał na koźle nic nie odpowiadając na gderanie. Barciński albo zżymał się i klął, albo go nieustannie strofował, co bywało powodem, że Hryszko czasem głowę tracił i wiózł coraz gorzej.

— Słyszysz, przyprzężonego batem, opuszcza się, — i wołał: klacz zawsze pierwsza się spoci, a dyszel idzie na rewizora. Rewizora pilnuj. Łowczy także sobie folguje, proboszczvchę smagnij. — Były to wszystkie imiona koni. A po chwili znowu: Jużeś to waszeć kamieniowi nie przepuścił, a toć osie gdyby były djamentowe, nie wytrzymają, wolno... licowe batem. Rewizor się opuszcza itp. Czasem Hrysza się zniecierpliwił, wynikał spór od słowa do słowa, powaśnili się starzy przyjaciele pan z woźnicą, ale talar i poczciwy wyraz załagodził sprawę.

— Gdyby to nie był taki dobry pan, — mówił czasem Hrysza, żeby mi miljony płacił nie woziłbym go. Aby za próg domu, czy sobie wątrąbę strzęsie czy co, zaraz się do człowieka czepia. Ale dobre takie panisko niech już sobie kaprysuje, kiedy mu to na zdrowie.

Taka była natura stolnika; żona i córka w drodze, aby go nie drażnić, milczały.

W tem pokazała się koło południa mała karczemka w której popasać nie było można ani myśleć, bo szopy nawet przy niej nie było, ale Hrysza nagle zatrzymał konie, p. Marcin że mu to nie wiele potrzeba było do gniewu zerwał się:

— A to co jest? czego stajesz? co ty myślisz popasać?

Ale tych słów domawiając, aż krzyknął:

— W imię Ojca i Syna... toć pan... toć... Zeliga!

Prawie, niżeli powóz stanął, już pan Marcin był na ziemi i z otwartemi ramiony biegł do przyjaciela, który stał sobie w kubraku letnim, płóciennym, ubrany nader ubogo, poglądając z gorącem uczuciem ku przybywającemu.

Był zrazu tak wzruszonym Barciński, że o domniemanej dostojności nieznajomego zapomniał, ale w chwili, gdy mu się miał rzucić w objęcia, obawa go opanowała, przyszła na pamięć wczorajsza wieczerza i wspaniałość, zdjął czapkę i zawachał się. Przeczuł to znać Żeliga, sam wystąpił doń i ściskać go począł ze łzami. Potem poskoczył do p. Marcinowej, a Justysia sama już do niego biegła. Zaczęły się przywitania serdeczne. Panna Agnieszka cała drżąca pąsowa, gdy ją po rękach całować zaczął, słowa nawet ze wzruszenia przemówić nie mogła.

Ów Żeliga, którego posądzali o wielkie państwo, nic a nic się nie był zmienił od ucieczki z Barcina, tylko trochę lepiej wyglądał, rumieńszy był, jaśniejszego czoła, taki właśnie jak gdyby siwosza dosiadł i honoru stada bronił. Myślał p. Marcin, że tu za nim zobaczy dwór, kozaków, kolasy, ludzi, ale przy karczemce stał tylko wózek mały parokonny, mucami zaprzężony i chłopak wyrostek w szarej barwie bardzo skromnej.

— Panie a bracie! — zawołał Barciński — czapkę trzymając u kolan, dalipan raz już mnie przecież nauczcie, jak was mam nazywać, jak szanować, kim wy jesteście... Boć znacie poczciwe serca nasze, zdrady po nich obawiać się nie możecie, a boli to, gdy zaufać im nie chcecie.

— Cierpliwości chwilę, tylko chwilę— rzekł uśmiechając się Żeliga — pozwólcie panie stolniku, abym czas jakiś jeszcze pozostał dawnym Żeligą, mnie z tem lżej, a wam istotnie jedno, bo serce się nie zmieniło. Jeszcze chwila a wyjaśni się wszystko, przebaczycie mi, gdy się przekonacie, że inaczej być nie mogło. Chciałem was wczoraj jeszcze tam powitać w Wygodzie, ale mnie sprawa główna zatrzymała w Warszawie, ledwie że dziś rano wyrwać się mogłem. Wierzcie mi, że na milczeniu i tajemnicy ja najwięcej cierpię. Folgi zatem krótkiej już proszę p. Marcinie. Albo by wam lepiej smakowało imię słynniejsze niż to moje dawne, z którem przecież przyjęliście mię tak poczciwie, tak serdecznie, że tego pókim żyw nie zapomnę... No.., a gdybym też, mimo wszystkich tych pozorów państwa i bogactw był chudym pachołkiem, jakeście mnie wprzódy znali?

— Tobyśmy waszmość jeszcze lepiej kochali,—gorąco przerwała p. Marcinowa — bo mówcie sobie co chcecie, między człowiekiem a człowiekiem, imię i majątek znaczne zapory kładną.

— No więc nazywajcie mnie Zeligą i myślcie po staremu żem ubogi, a dalipan... dalipan... — dodał wzdychając — nie omylicie się wiele. Wszystko się wkrótce wyjaśni. Dysponuję ja bogactwy, ale się sam za bogatego nie uważam, a ta rodzina, którą najwięcej miłuję, była ubogą szlachecką rodziną.

Spojrzał na pannę Agnieszkę, w której oczach błysnęła radość widoczna... nie tyle smakowało jej państwo, ile się go obawiała. Gdy z dwojga ludzi kochających się jedno nadto wiele obowiązanem jest drugiemu, zawsze ciężar dźwiga, który się często czuć daje.

Któż zresztą nie doświadczył, że jak nabywanie pieniędzy często polepsza i podnosi człowieka, tak nabytych posiadanie niemal zawsze go psuje, wbija w pychę i obałamuca. Panna Agnieszka wolała kochać ubogiego (bo kochała go) niż magnatowi być za miłość jego obowiązaną, miłość, która już była zniżeniem się ku niej i ofiarą. Kobiety zawsze prawie wolą ku sobie podnosić, niżby się ku nim schylano.

Pan Marcin popatrzał i głową pokiwał.

— Panie bracie — rzekł — dużo w tem zagadki dla mnie, ale...

— Ale nie odgadniecie ich i nie frasujcie się o nie — przerwał wesoło Żeliga. — Tandem cóż? Wszak myślicie popasać?

— Gdyby było można — odparł Barciński — ale nie ma nawet koni gdzie postawić.

— Na to rachowałem — zawołał Żeliga — więcem czekał, aby drogę pokazać do folwarczku, w którym się wszystko znajdzie i dla koni i dla państwa. Siadajcie panie moje do kolebki, ja z panem Marcinem siądę do wózka mego i poprowadzę was przodem.

— Daleko to? spytał p. Marcin.

— Ale pół godziny drogi...

— Ja więc z waszmością na wózek a chłopiec kędy?

— Uczepi się z tyłu, jest tam miejsce dla niego.

Siedli tedy razem, kobiety nazad do kolebki, Hryszka uwolniony od pańskiej komendy palnął z bicza zamaszysto, i w lewo małą, ale dobrze utrzymaną dróżyną ruszyli od gościńca.

— Ale dokądże to jedziemy? — spytał po chwili Barciński — może znowu jaka niespodzianka w rodzaju wczorajszej?

— Nie, nie, jeśli niespodzianka, to w innym już rodzaju. Z tamtą wystąpił mój siostrzeniec, bogaty panicz światowy, z tą biedny pokutnik Żeliga.

Słysząc westchnienia dobywające się z piersi, p. Marcin o więcej się już dopytywać nie śmiał. Droga coraz gęstszym i ciemniejszym szła lasem, otoczona niebotycznemi sosnami.

Kto takiego sosnowego starego boru nie widział, kto w nim ciszy nie kosztował, i nie poczuł wrażenia, jakie ona czyni, ten i w kościele modlić się nie potrafi.

(C. d. n.)

O wrażeniach zmysłowych

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(Ciąg dalszy).

Chcąc na koniec wywołać tony jeszcze niższe albo też jeszcze wyższe, przekonywamy się, że wprawdzie słyszyć się one i ocenić dają mianowicie ku górze, ale tracą już ten charakter czystości, jakiego od tonów muzycznych wymagamy. Dopiero około 30 drgań na 1 sek., tony niskie

*

stają się czyściejsze a tony wysokie odróżniać możemy jeszcze do 24.000 drgań na sekundę jako dosyć czyste, lecz dalej już, mianowicie przy 30 kilku tysiącach tony stają się ostre, bolesne nawet dla ucha i niemogą być uważane za muzyczne — brak nam bowiem w uchu włókienek do ujęcia tak gwałtownych a zarazem tak subtelnych poruszeń, i z tego powodu szarpią one tylko nadmiernie zakończenia nerwów, rodząc ból.

Właściwe, czyste tony wysokie odczuwamy tylko do wysokości *c*, rozpoczynającego ósmą oktawę.

Rzecz godna uwagi, że tu *ilość* wrażeń staje się *jakością*. Jak tylko bowiem liczba drgań przeskoczy od 33 do 37, słyszymy już ton inny, odrębny od pierwszego, a nadto, do wywołania każdego z tych wrażeń jakościowych wystarczają dwa wrażenia ilościowe. Objaśnię to bliżej. Jeżeli koło obracające się szybko ma jeden ząb, wówczas ząb ten uderzając o kartę daje tylko wrażenie uderzenia, nie zaś dźwięku, ale jeżeli obok niego znajduje się nadto drugi ząb, to już dwa takie uderzenia nie będą odczute jako uderzenia, lecz jako *ton*. Przez dodanie większej liczby zębów, ton się nie zmieni, stanie się tylko trwalszym i tem silniejszym, im silniejsze będą uderzenia. Jakościowa zaś zmiana jednego tonu w drugi zależeć będzie wyłącznie od szybkości obrotów, a więc od ilości uderzeń (drgań) na sek. Gdyby ta ilość nie była jednostajną, tj. gdyby uderzenia nie powracały stale w pewnych odstępach czasu, wówczas mielibyśmy tylko wrażenie uderzenia, czyli *szmeru*, nie zaś wrażenie muzyczne. W uchu mamy, jak widzieliśmy, odrębne organy dla tych wrażeń. W aparacie Corti'ego ujmujemy tylko dźwięki prawidłowe, zaś kryształki i włoski mogą drgać i nieperjodycznie ujmując szmery. Podział pracy jest tu do tego stopnia stanowczym, że każdy klawisz odbija tylko ton sobie właściwy i podrażnienie go w jakikolwiek sposób np. *elektrycznością*, daje nam wrażenie dźwięku. Przepuszczając strumień elektryczny przez głowę, drażniąc cały nerw słuchowy, słyszymy i tony i szmery, chociaż dokoła nas głucho. We śnie, mianowicie w *marzeniach gorączkowych*, sam nabieg krwi podrażniać może włókno nerwowe i tworzyć złudzenia. Sądzimy wówczas, że ktoś woła na nas, że słychać jakąś muzykę, że się coś wali z łoskotem itp. Zniszczenie pewnych części klawiatury Corti'ego powoduje prawdopodobnie głuchotę w obrębie pewnych tylko tonów. Kształcenie muzyczne przeciwnie wpływa na rozwój nitek i pałeczek, który prawdopodobnie i dziedzicznie się przenosi, stanowiąc to, co nazywamy wrodzonym talentem muzycznym, a właściwiej *uchem muzykalnem*. Słabe rozwinięcie klawiatury Corti'ego może się łączyć z najwyborniejszym słuchem niemuzycznym; są bowiem ludzie, którzy nie umieją odróżnić polki od walca, którzy nie mają żadnego poczucia dla piękności muzycznych, niemogąc się zorjentować w najprostszej kombinacji melodyj i akordów, a przecież słuch mają doskonały. Tymczasem przeciwnie wykształcony muzyk, chociażby był nieco głuchym na słabe głosy, może jednak nietylko odróżnić rodzaj gamy, ton czysty od niepewnego, ale nawet według doświadczeń E. H. Webera $^1/_{64}$ część tonu!

Że rozróżnienie takie jest możliwem, chociażby było wyjątkowem tylko, świadczy o tem następujące obliczenie: Łuków Corti'ego jest w naszem uchu 3.000, a z tych mniej więcej 2.800 przypada na rozległość siedmiu oktaw. Zatem na jedną oktawę przypada 400 łuków, a na pół tonu jeszcze $33^1/_3$ łuków. Mamy więc dostateczną liczbę, bo dwa łuki na jeden taki ton o jakim mówi Weber. W każdym razie wrażliwość taka jest wyjątkową i stanowi granicę czucia muzycznego. Dla zwykłych śmiertelników już pół-tony są trudne do odróżnienia, a Chińczycy wcale nie znają pół tonów. Dla nich, zarówno jak dla Mongołów i Japończyków, cała gama składa się z pięciu tylko tonów, a pokolenia ludożercze Oceanji znają tylko trzy tony. Nadto gama ludów żółtej rasy zaczyna się od *fa*, podczas gdy Indjanie, Persowie i Arabowie zaczynają gamę od *la*; z tego powodu pomiędzy ich pieśniami narodowemi a muzyką Chińczyków nie ma najmniejszego podobieństwa. Japończycy wreszcie, przynajmniej do niedawnych czasów, wcale śpiewu nie znali.

W naszym szczepie przyrząd Corti'ego doskonale jest rozwinięty, a jego działalność, podobnie jak to widzieliśmy przy ciałkach dotykowych i wszystkich innych, zależy głównie od ćwiczenia i wprawy. Nitek nerwowych jest tyle, nawet u dziecka nowonarodzonego, że mogłyby tysiące tonów rozróżniać, gdyby tylko nie brak wprawy doświadczalnej. Przy odpowiedniem otoczeniu, mianowicie jeźli piastunka umie śpiewać, jeśli w domu ktoś grywa rzeczy łatwiejsze i melodyjne — dziecko bardzo prędko dochodzi do wprawy w rozróżnianiu melodyj i stanowczo ma władzę poznawania tonów oktawowych, chociaż ich nazwać nie umie. Dziecko, które słyszało kilkakrotnie śpiew męski, powtarza go tonami wyższej oktawy, dając dowód, że poczucie podobieństwa, mimo różnicy wysokości, nie jest mu obcem.

Z monotonności śpiewów dziecinnych nie można jeszcze wnosić o braku wrażliwości na rozmaitość tonów: przeciwnie wrażliwość ta jest niezależną od umiejętności używania strun głosowych. Dziecko niewątpliwie więcej tonów rozróżnia, aniżeli ich w śpiewie używa, a wiadomo nadto, iż są osoby bardzo muzykalne, które przecież wcale śpiewać nie umieją.

Rozmaitość wrażeń muzycznych dzięki klawiaturze Corti'ego jest niesłychanie obfitą. Możemy to sobie uprzytomnić przez następujący podział: W ogóle we wrażeniach muzycznych rozróżniamy:

1) pewien oznaczony ton,
2) pewną oznaczoną siłę tonu,
3) pewien oddźwięk tonu.

Pierwszy jak widzieliśmy, zależy od *szybkości* drgań, drugi od ich *wielkości*, zobaczymy teraz od czego zależy trzeci.

Wiadomo, że jeden i ten sam ton jednej i tej samej oktawy inaczej brzmi na fortepianie, inaczej na skrzypcach, na flecie, na organach lub na trąbce. Otóż te różnice nazywamy oddźwiękiem albo barwą tonu (*timbre*).

Możność zaś rozróżniania tak podobnych wrażeń polega na tem, że ściśle rzecz biorąc żaden ton nie jest zupełnie czystym, lecz zawsze mięszają się do niego słabe odpowiadające mu tony wyższych oktaw. Przy uderzeniu *c* pierwszej oktawy biegłe ucho rozróżnić może oddźwięk *c* następnej oktawy, a Helmholtz wymyślił nawet przyrząd, za pomocą którego cały szereg takich tonów dodatkowych coraz to słabszych ocenić możemy. Od ilości zaś i siły tonów dodatkowych zależy barwa dźwięku, czyli oddźwięk tak w instrumentach jak i w krtani u rozmaitych śpiewaków. Ze swej strony oddźwięk tych tonów zależy od formy instrumentu i jego natury. Tak np. trąba mosiężna jeszcze raz zahartowana w ogniu daje oddźwięk całkiem inny. W krtani zaś ludzkiej dźwięczność i barwa głosu zależą często od wpływów moralnych, od nastroju uczuciowego, który potęguje i modyfikuje działalność strun głosowych.

Z powyższych trzech pierwiastków tj. jakości tonu, jego siły i oddźwięku, powstaje cały świat wrażeń muzycznych przez kombinację jednych tonów z drugiemi. Jedne z tych kombinacyj nazywamy harmonijnemi albo przyjemnemi, inne dysharmonijnemi czyli nieprzyjemnemi. Badając zaś różnice tych połączeń, przekonamy się, że polegają one na zjawisku *interferencji*, czyli wzajemnego paraliżowania się fal głosowych. Ponieważ ton zależy od liczby drgań, więc przy kombinacji różnych liczb, niektóre drgania muszą sobie wzajemnie przeszkadzać, ponieważ jedno drganie podnosi ku górze tę samą cząstkę powietrza, którą drugie prze ku dołowi.

Ztąd takie kombinacje tonów przeszkadzają sobie wzajemnie, a przenosząc się do ucha robią wrażenie niemiłego szarpania nerwów w dwie różne strony. Matematycznie można obliczyć, jakie liczby drgań dadzą najwięcej takich punktów starcia, w których jedna fala przeszkadza drugiej, a doświadczenie sprawdza rachunek.

Wrażenia tego rodzaju są zupełnie analogiczne z temi, jakich doznajemy przy migotaniu się światła. Jak bowiem dysonans jest połączeniem sprzecznych wrażeń, tak samo jest niem migotanie światła, w którem blask i ciemność przeplatają się bezustannie szarpiąc nerwy wzrokowe. Tak samo niemiłemi muszą być wszystkie wrażenia zbyt silne jako sprzeczne z resztą innych. W ogóle nowość wrażeń, czyli ich rozmaitość rodzi uczucie przyjemne, ale sprzeczność zupełna jednych z drugiemi, tak pod względem siły jak i charakteru fizycznego lub moralnego, zawsze jest *przykrą*.

Ponieważ jakość tonu zależy jedynie od szybkości czyli ilości drgań, a więc prosty ztąd wniosek, że im dwa tony są bardziej zbliżone w gamie, tem też prawdopodobniejszem jest ich przeszkadzanie sobie, czyli ich dynonans jako tonów o zbliżonej liczbie drgań. Ztąd też oktawa daje wrażenie przyjemne, podczas gdy uderzenie dwóch sąsiednich klawiszów zawsze nieprzyjemnie działa; a tak samo jak niemiłem jest dla nas, gdy w dysonansie jeden ton przeszkadza drugiemu sprawiając wzajemne osłabianie się, tak samo też nieprzyjemnie nam jest, jeżeli słuchając muzyki lub rozmowy, doznajemy przerwy we wrażeniach, jeżeli w skutek ubocznego gwaru kilka tonów albo kilka wyrazów nie dojdzie nas zupełnie. Ucho potrzebuje *ciągłości wrażeń* tj. pewnego między niemi związku, tak samo zupełnie jak i wszystkie inne zmysły. Wprawdzie w muzyce np. częstokroć podoba nam się zboczenie od pianissima do fortissima, ale też nie powinno ono być zbyt nagłem, ani zbyt częstem, w przeciwnym bowiem razie szarpie tylko nerwy, zamiast bawić rozmaitością wrażeń. Tak samo też szarpie brak ciągłości w trwaniu jednego tonu. A takim właśnie przypadek ma miejsce przy akordzie dysonansowym. Jeżeli uderzymy jednocześnie dwa stroiki o bardzo zbliżonych tonach, to usłyszymy dźwięk tak niemiły, że będziemy musieli uszy zatykać, przekonamy się nadto, że ton takim sposobem powstały nie jest ciągłym, lecz składa się z szeregu uderzeń i przerw. Uderzenia powstają ze zlania się drgań jednorodnych, przerwy

zaś przez wzajemne paraliżowanie się drgań różnorodnych.

Zmiana zaś uderzeń i przerw jest tem większą, im różnica liczby drgań dwu tonów sąsiednich jest większą, ponieważ tem częściej uderzenia będą się przeplatały z przerwami, dając wrażenie jakby migotania się tonów. Najsilniejszy stopień takiego niemiłego wrażenia przypada tam, gdzie różnica ta jest największą, tj. pomiędzy tonem *h* z czwartej oktawy i tonem *c* z piątej. Pierwszy składa się z 495, drugi 528 drgań na sekundę, różnica więc wynosi aż 33, a tem samem 33 razy na sekundę nastąpi zlanie się drgań niesłychanie dla ucha niemiłe. Natomiast tony *h* (z pierwszej) i *c* (z drugiej), z których jeden ma prawie 62 drgań na sekundę, a drugi 66, gdzie więc różnica jest mała, i wrażenie dysonansu jest także słabszem. A ponieważ sąsiednie tony najniższe w basie w ogóle mniej się różnią liczbą drgań niż środkowe, więc też dysonans mniej w nich razi. Maksimum przykrego wrażenia przypada tam, gdzie różnica dwu sąsiednich tonów jest równą 33 drganiom na sekundę. Dysonanse jako naruszające prawidłową perjodyczność drgań, możemy uważać za przejście do *szmerów*. Dla uczucia są one w ogóle obojętne, lecz przy wzrastającej sile mogą się stać nieprzyjemnemi, zwłaszcza jeśli przerywają inne bardziej harmonijne.

Osobną klasę wrażeń głosowych stanowią nadto wrażenia mowy, których olbrzymi wpływ na całą naszą umysłowość dobrze jest znany. Są to już jednak wrażenia nie tyle zmysłowe ile umysłowe i dla tego bliższy ich rozbiór wychodzi już po za zakres naszego zadania.

(C. d. n.)

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

JANA KUBAREGO.

(Ciąg dalszy.)

Po miłej kąpieli rozpoczęliśmy odwrót w tym samym porządku i nakoniec osklepił nas gościnny dach Ngatbartelbaju. Znowu dzieliłem misy ładowne jadłem, znowu otoczeni kłębami dymu, gawędziliśmy o przeżytych awanturach, obcych zwyczajach i starych przez ojców podanych tradycjach. Czułem się bardzo szczęśliwym pomiędzy tymi starcami, dnie nasze spływały w jednostajnej bezinteresownej przyjaźni. Zbytek ofiarowanego mi szacunku ze strony sędziwych starców, nie śmiejących stać w mojej obecności bez pokornego pochylenia całej postaci, nieraz wprawiał mnie w przykry kłopot i żenował mnie młodego. Kapłani ich bogów byli dumni, mogąc na chwilę porozmawiać ze mną i odkryć jakieś nieznane mi dotąd podanie. Starcy mnie poważali, dziewice z miłym mnie uśmiechem witały, dziatwa z wrzaskiem wołała na mnie „oboguk“ tj. dziadku. Mój gospodarz Iraklaj nazywał mnie swoim przyjacielem i ciągle dawał dowody bezwarunkowej przyjaźni. Rankami i wieczorami siadaliśmy przed naszym domem na kamiennej estradzie panującej nad drogą, to pytając przechodniów o nowiny, to radząc o bieżących wypadkach, lub układając plany na resztę dnia lub nazajutrz. Tak dnie tutaj mi jakby myśl mijały.

Lecz należało nareszcie pomyśleć o powrocie do mojej zagrody w Malakal. Dziesięć dni już gościnny lud Artingalu mnie uraczał, nakoniec po naradzie naznaczyliśmy dzień rozstania! Teraz zaczęło się objawiać jak ściste węzły złączyły nas choć w tak krótkim czasie. Czuli oni przytem, że ja mogę i pragnę być pośrednikiem między nimi a Koryorem, lecz znając nienawiść wrogów, poczęli się obawiać, abym nie został przez nich za powrotem zamordowanym. Bogowie zaczęli swe przepowiednie, a zakłopotany Iraklaj najusilniej mnie prosił, bym podług krajowych zwyczajów, zabezpieczył siebie łaską wszystkich przyjaznych nam bogów i od tychże, o tem co mnie w Koryorze spotka, się dowiedział.

W gronie delegatów wszystkich ziem Artingalu, znajdowali się kapłani wszelkich krajowych bogów, należało więc tym ofiarować jakieś drobnostki i usłyszeć za to dobrą lub złą wróżbę. Dalekim byłem od chęci lekceważenia poczciwców niewiarą w ich wiarę uświęconą wiekami. Z najuroczystszą więc powagą objawiłem gotowość mych ofiar wszystkim artingalskim „Kalitom,“ by ci naszą przyjaźń strzegli i od zerwania zachowali.

Iraklaj rzekł mi z rezygnacją: „Jeżeli bogowie dobrze przemówią, zostawisz mnie spokojnym; jeżeli złe objawią wróżby, będziesz ostrzeżonym, a ja będę oczekiwać na nowiny by cię pomścić.“

Następnego dnia jak zwykle, otoczony naczelnikami w komplecie, jadłem z jednej misy z Iraklajem. Po śniadaniu miała mieć miejsce ceremonja.

Na drugim końcu baju siedzieli „Korongi“ czyli kapłani różnych bóstw mianowicie: Irungor bóg Ngiwalu, Godal Melek bóg Molegojoku, Gobak Aremogon bóg Ngorszulu i Gobak z Ardololok. Na przeciwnej stronie siedział Iraklaj, a przy nim ja, dzieląc sztukę czerwonej materji na cztery części. Jeden z naczelników wezwany, przystąpił w pochylonej postawie i otrzymawszy ową sztukę materji, poniósł ją do wskazanego mu kapłana. Ten czekał poważnie i zapytał od kogo ta ofiara pochodzi, na co otrzymał odpowiedź, że odemnie i od mego przyjaciela Iraklaja. Kapłan tedy podniósłszy ją do góry wykrzyknął: oto ofiara od dwóch przyjaciół dla Irungora! poczem wpadając w nagle natchnienie, zaczął przewracać oczyma i wydawać jęki, ale nie głosem naturalnym — tylko z głębi piersi pochodzącym.

Było to znakiem, że bożek Irungor przez swego kapłana przemawia. Ów kapłan czyli Korong, wpadał zwolna w ekstazę coraz wzrastającą i rycząc gwałtownie, wywoływał wielekroć me nazwisko. Toż samo z kolei czynili inni kapłani wśród grobowej ciszy i pobożnej skruchy obecnych, aż nakoniec pierwszy z kapłanów wróciwszy do przytomności oświadczył, że artingalscy bogowie silnym puklerzem zasłonią mnie od złości Koryoru. Podczas tej ceremonji włosy mi powstawały na głowie i trudno było mi dociec, czy owi kapłani byli to wyćwiczeni łgarze, czy też ślepo wierzący w swoje praktyki. Ciekawie studjowałem twarze pozostałych kapłanów, gdy jeden z nich był w ekstazie; najsolenniejsza jednak powaga malowała się na ich obliczach. Zdawało mi się nieraz, że byłem w starej Grecji, gdzie sztucznie w ekstazę wpadające Sybille przyszłość przepowiadały.

Nareszcie zaświtał stanowczy dzień mego odjazdu. Od samego rana wszystkiemi drogami podążały kobiety i dziewoje z koszami na głowach ładownemi owocami lub tarem. Czółno moje naładowane do szczytu, nie objęło czwartej części nagromadzonych podarunków. Nadbrzeżny piasek i tama pokryły się krajowcami z okolicznych wiosek.

W Ngatbartelbaju dzieliłem po raz ostatni hojnie przyniesione misy, lecz znikła poprzednia wesołość.

Ruszyliśmy w końcu długim szeregiem do brzegu. Domy i drogi puste, nie miałem kogo tu żegnać, gdyż co żyło było zgromadzone nad brzegami. Tu raz jeszcze otoczył mnie wieniec Artingalek z nienacka, a jedna z nich w imieniu wszystkich wyrzekła: idź i prędko znów do nas powracaj. Betlowe liście jakie mi ofiarowały, były dowodem ich przyjaźni. Chciałem dłużej z niemi porozmawiać jeszcze, ale należało pójść do Baju, gdzie naczelnicy na ostatnie pożegnanie się zebrali. Tutaj żuliśmy liście betlu, każdy ma niby to być ostatnim, Iraklaj chce mówić, braknie mu jednak słów czy przedmiotu, ogólne milczenie zawisło. Lecz trzeba było nareszcie ruszyć, oświadczyłem Iraklajowi, że doznanego przyjęcia nie jestem w stanie odpłacić i wręczyłem mu papier, który miał być po mnie pamiątką dla niego. Papier ten zawierał spisane okoliczności pobytu mego w Molegojoku u Iraklaja i cel tej wycieczki, następnie polecenie kraju Iraklaja życzliwości każdego okrętu mijającego te brzegi z prośbą, by szczodrobliwem przyjęciem odpłacił gościnność udzieloną wędrowcowi.

Wypadało jeszcze przemówić i pożegnać formalnie naczelników, więc rzekłem w miejscowym palawskim języku: „Iraklàj ma Rupàk a baj Molegojok, ugak mormej, ugak marail a Malakal, komyn moràil a pelu. Bodengék moràil ma kiéj a Koryor, arugunk dy rréke ngar a blingiel a re komyn. Ngak a mo! Diak i obes ugak!“ To znaczy: Iraklaju i naczelnicy Molegojoku! ja was opuszczam idąc na Malakal, wy idźcie do waszych domów. Ciało moje będzie w Koryorze, lecz mój duch zostaje między wami. Idę! Pamiętajcie o mnie.

Owi starcy posmutnieli, oni myśleli, że widzą mnie raz ostatni. Popatrzyłem na nich, nikt do mnie już nie przemówił, więc wyszedłem na zewnątrz i potrząsnąwszy dzidą zawołałem: Kabadréj! w drogę! lecz jeszcze raz ujrzałem mojego dzikiego przyjaciela przy sobie. Uchwycił on w obie dłonie mą rękę, twarz mu się dziwnie skurczyła i rozczulony wybuchnął jeszcze o yees, o yees, good by, good by! Poczciwiec chciał mnie jeszcze po naszemu pożegnać, mówię po naszemu, gdyż myślał, że w całej Europie mówią tylko po angielsku, nie wiedział, że po naszemu wypadało mu powiedzieć: bądź zdrów! Ja to uczyniłem i wstąpiłem do łodzi. Ruszyliśmy przy dzikich okrzykach tłumów, wiatr uchwycił nasz mały żagiel i mijając szybko wioski i przylądki, ryfy i passaże, znaleźliśmy się późno wieczorem nad brzegiem mojej wysepki, gdzie mnie mój wierny neufundlandczyk wesołem poszczekiwaniem powitał.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

(Ciąg dalszy.)

Rozwody stały się także bardzo łatwe. Przy Piotrze rząd nie tylko pozwalał na rozwody, lecz

sam nawet dopomagał. Gdy Jagużyński cierpiący z przyczyny złego charakteru żony swojej nie odważył się rozwieść się z nią, uważając rozwód za rzecz przeciwną religji i sumieniu, Piotr przekonywał go: „że Bóg ustanowił małżeństwo dla ulgi w cierpieniach i przeciwieństwach tak częstych w życiu człowieka; złe więc małżeństwo jest przeciwnem woli bożej, dla tego też sprawiedliwem jest i korzystnem rozerwać je, bo zostawać w stanie wojny z żoną, niebezpiecznie dla zbawienia duszy“. Jagużyński dał się przekonać i Piotr udzielił mu rozwodu. Żonę zaś jego, jak i pierwszą żonę Piotra zamknięto do klasztoru według dawnego moskiewskiego zwyczaju; lecz ten zwyczaj utrzymał się nie długo i rozwiedzeni wchodzili w nowe związki. Przy Katarzynie rozwody w stolicach były niezmiernie częste, nie tylko z wyroku sądowego, lecz za wspólną zgodą małżonków. Mężowie rzucali żony, żony porzucały mężów; kochankowie zaś odbierali żony mężom. Wigel opowiada, że jeden pułkownik, który stał z pułkiem w Penzie, pokochał żonę jakiegoś bogatego właściciela. Wkrótce dla kochanków nastąpiła chwila rozstania. Przy końcu pożegnalnego objadu, który mąż dawał odjeżdżającemu pułkownikowi, zaprosiwszy wszystkie znakomitości miasta, gospodyni, zalewając się łzami objawiła, że mimo siły rozstać się z pułkownikiem nie może, i pójdzie za nim wszędzie. Goście zdumieli; gospodarz upadł do nóg żony, prosząc aby nie porzucała domu i dzieci. Tymczasem żołnierze zaczęli wynosić z domu walizy i kufry z jej rzeczami. Mąż chciał powstrzymać żołnierzy, lecz pułkownik pokazał na stojący niedaleko szwadron, gotów na pierwszy znak otoczyć dom i zrobić niemożliwym wszelki opor. Po dwudziestu latach kobieta ta porzucona przez kochanka wróciła do męża i ten ją przyjął.

Małżonkowie którzy rozeszli się bez żadnych formalności wstępowali w nowe związki małżeńskie, tak że często można było spotykać kobiety mające dwóch mężów, lub mężczyzn mających dwie żony. Jeden historyk ówczesny opowiada, że „stryj jego był tak nabożnym, że nigdy nie chciał mieć żadnego stosunku z kobietą, nie będąc z nią związany małżeństwem. Po śmierci stryja jedna z jego wdów przyszła prosić o pomoc, potem przyszła druga, nareszcie trzecia. Przeląkszy się takiej wielkiej ilości ciotek, kazał ich nie wpuszczać, bo jak dowiedział się potem było ich osiem.

Wreszcie łatwość rozwodu istniała tylko w życiu a nie w prawie, które zmieniło się bardzo niewiele. Piotr dozwolił tylko małżonkom osób zesłanych do ciężkich robót iść za niemi lub rozerwać związek małżeński i wstąpić w nowy.

Od czasów Piotra morganatyczne związki stały się w Moskwie rzeczą nader częstą i zwykłą. Dzieci zrodzone w czasie tych związków, mogli rodzice uprawnić biorąc ślub z sobą. Tym sposobem zostały uprawnione córki Piotra — Anna i Elżbieta, po jego ślubie z Katarzyną. Piotr I widząc, że prawo zabrania jego przyjacielowi Repninowi wstąpić w czwarty związek małżeński, pozwolił mu mieć metresę, a dzieciom nazywać się Repninami... Wolność kobiet do szczytu doszła przy Katarzynie II. Wyrwawszy się przy pomocy Piotra z więzień swoich, Moskiewki, zepsute poprzednią niewolą, w pierwszej chwili nie widziały granicy między swobodą uczucia i otwartą cyniczną rozpustą. Była to reakcja kobiecej namiętności i kobiecego protestu przeciw tyloletniemu jarzmu. Rozpusta kobiet 18 wieku była naturalnem następstwem poprzedniej tyranji mężczyzn.

Z ciężkiej bojaryni zostawszy światową damą, obznajomiwszy się z europejską modą i kokieterją, oddawszy się rozkoszom i światowym zabawom, nauczywszy się miłej nauki umizgów, Moskiewka zapragnęła innej miłości od mężczyzny jak ta którą jej do tej chwili okazywał. Jednak aż do 19 wieku miłość w pojęciach Moskiewki nie straciła swego zmysłowego charakteru. Rozpustne książki i rysunki można było znaleźć w każdym domu. Francuski dwór Ludwika XV z jego wyuzdaniem przyjęto jako przykład godny naśladownictwa. Rozpusta weszła w zwyczaj, w modę i była uważaną za dowód wykształcenia. Mężczyźni nie żenili się, bo było to wtedy „du bon ton“ być kawalerem, a żony otwarcie oszukiwały mężów swoich, mieniając niemal codziennie kochanków. Za szczyt wykształcenia uważano, jeżeli mąż i żona żyli w domu zupełnie odosobnieni i mieli każdy swoich znajomych, jeżeli mąż miał kochankę, a żona była otoczona tłumem wielbicieli. Mężczyźni byli jeszcze więcej zepsuci jak kobiety. Piotr ze świtą swą tak się prowadził za granicą, że na nich cudzoziemcy patrzali ze zdumieniem. W Moskwie zaś byli oni jeszcze mniej wstrzemięźliwi. Utrzymywanie kochanek i tracenie z niemi ogromnych sum stało się znamieniem prawdziwej arystokratyczności. Przepędzanie czasu na umizgach było głównem zajęciem całej młodzieży, a młodzieniec nie mogący dać oczywistych dowodów swego zepsucia, był źle przyjmowanym w gronie kolegów swoich. Kobiety średnich klas były tak zepsute jak wielkoświatowe Messaliny. Stałe armje, niewola włościan i nędza kraju szerzyły rozpustę w całem społeczeństwie. Lekkość obyczajów, kłótnie małżeńskie, niewierność żon i mężów, ucieczka dziewcząt z domu rodzicielskiego i nieustanne skandale były przedmiotem wszystkich rozmów w salonach arystokratycznych i pod strzechą najbiedniejszych ludzi. Miłośne stosunki w wyższych sferach interesowały wszystkich, tem więcej, że od nich często zależał bieg spraw państwowych. Walka o fawory była tak uporną i zaciętą, że z pierwszego wejrzenia można było ją wziąć za walkę partyj politycznych. Stary faworyt ze swymi stronnikami, nie wahał się przed żadnym środkiem, aby usunąć rywala: łgał, donosił, starał się żeby go zesłano na Sybir. Tak naprzykład, gdy na dworze Elżbiety, córki Piotra, pojawił się piękny młodzieniec Beketow i zwrócił na siebie uwagę carycy, to Szuwałow, faworyt jej, starał się go usunąć za pomocą plotek; gdy się to nie udało, wkradł się w zaufanie Beketowa, chwalił jego piękność i dla podtrzymania jej doradzał użycia jakiejś pomady, którą mu sam przyniósł, a gdy twarz młodzieńca od tego lekarstwa pokryła się pryszczami, Szuwałow powiedział carycy, że rywal jego jest chory i Beketów otrzymał rozkaz wyjechania ze stolicy. Na podobne intrygi magnaterja moskiewska traciła wiele czasu.

Chociaż Piotr, urządziwszy „assambleje“ uczył swych nawpół dzikich bojarów europejskiej cywilizacji i „jak mówić komplementy, jak zachować przyzwoitość w domu“ lecz sam nauczyciel i jego uczniowie odznaczali się niesłychanym cynizmem. Na „assamblejach“ pili wódkę mężczyźni i kobiety, a zabawa często zmieniała się na ateńską orgję. Rozmowy były nieprzyzwoite do najwyższego stopnia. Czytając korespondencję Piotra z Katarzyną, zdumieje każdy na widok cynizmu obu małżonków, i słonych i tłustych żarcików, któremi wzajemnie traktowali siebie car i caryca. Żeby scharakteryzować ówczesne społeczne zabawy, dość wspomnieć o weselach błaznów, które odbywały się z niezwykłą pompą. Piotr I ożenił trefnisia swego 70 letniego księcia — papieża Zotowa z 60 letnią babą Paszkową. Przy huku armat, dźwiękach muzyki i odgłosie dzwonów we wszystkich cerkwiach, narzeczony i narzeczona odziani w kardynalskich ubraniach wzięli ślub w cerkwi i nowożeńców błogosławił 90 letni pop. Masy ludu biegły obok karety odwożącej nowożeństwo krzycząc: „Patryarcha ożenił się, niech żyje patryarcha i jego żona.“ Gdy ten błazen — patryarcha umarł z pijaństwa, Piotr wybrał na jego następcę Buturlina i ożenił go z wdową po zmarłym. Wesele odbywało się z niezmierną pompą: Pokój nowożeńców był oświetlony mnóstwem kandelabrów, zastawiony beczkami z winem, wódką i miodem. Małżonkowie byli tak pijani, że na nogach utrzymać się nie mogli. Piotr ze świtą patrząc na małżonków trzymał się za boki ze śmiechu.

Przy następcach Piotra podobne wesela powtarzały się dość często. Przy Katarzynie I obchodzono z wielką ceremonią wesele jej błazna z kozą. Przy Annie błazna jej ks. Golicyna ożeniono z kałmuczką. Jak wiadomo wesele to odbywało się w domu zbudowanym z lodu; wszystkie prowincje powinne były przysłać na tę carską zabawę śpiewaków, tancerzy, koni, psów, kogutów, kozłów i baranów. Nadworny poeta Izedjakowski napisał szumną odę na powinszowanie nowożeńcom! Trudno było wymyślić coś niesmaczniejszego, coś obrzydliwszego, jak te zabawy...

Drugą charakterystyczną zabawą tego czasu były „maskarady metamorfoz“, które weszły w modę przy carycach. Były to bale, na które mężczyźni przychodzili ubrani w kobiece suknie a kobiety w męskie, i maskarada zwykle kończyła się burzliwą orgją. Podobne maskarady były w życiu na francuskim dworze, w epoce największej lekkości obyczajów. Literatura moskiewska w końcu 18 i w początku 19 wieku odpowiadała temu rozstrojeniu umysłów; była tak brudną, tak nieobyczajną, że dziś nawet tytuły ich nie są możliwe w druku.

(C. d. n.)

SREBRNY DZWON.

Legenda nadreńska

przez

IZE.

I.

Niegdyś nad Renu urwistym brzegiem
Podnosił zamek swe czoło stare;
Ren już wód wiele swym wartkim biegiem
Poniósł bezdeniom mórz na ofiarę,
Odkąd legł prochem ów gród wspaniały.
Ale po dziś dzień nurty spienione
Co się tam tłuką o czarne skały,
Wołają na cię w szumy stłumione:

„Ktobądź wędrowny jesteś człowiecze!
Posłuchaj dzikiej naszej powieści,
Co tu zaklęta w głębinach ciecze,
Od wieków z wiatru jękiem szeleści:
Spojrz na te skały, dzikie urwiska,
Które na brzegu piętrzą się ścianą;
Fala za falą wściekle się ciska,
Stopy im myjąc perłową pianą.

Otóż tam niegdyś, gdzie szczyt opoki,
Gród się rozsiadał latami siwy:
Wieżyce jego prują obłoki,
A pozór dziwnie jakiś straszliwy!

Te groźne baszty, mury wpół czarne,
Zwieszone śmiało w orlej dziedzinie,
Zdają się przeczyć, że wszystko marne,
Że co jest ziemskie — kiedyś zaginie.

Wieki, co na nim ciężą brzemieniem,
Nie zgięły w ziemię hardego szczytu;
Na gniewy Boże, wichry, pioruny,
Stał niewzruszony, zimny, z granitu.
Jak nieugięte zamkowe mury,
Tak twardzi, dumni murów mieszkańce;
Nigdy łzą nie błysł wzrok ich ponury,
Nigdy nie znała duma co krańce.

Na drugim brzegu, przeciwny wcale
Widok uderza: jak wzrok zasięga,
Spłukują piasek łagodne fale,
Wybrzeże kwietne, jak barwna wstęga.
Miasto skał dzikich, winne uploty,
Miast groźnej baszty, w czyste błękity
Klasztornej wieży krzyż strzela złoty,
I drzew zielone chwieją się szczyty.

W zamku ustawna wrzawa i gwary:
Uczty, turnieje, pienie minstrela;
Szczękają zbroje, dźwięczą puhary,
O skały bije okrzyk wesela.
W klasztorze tylko ni to szmer zdroju,
Szelest różańca przerywa ciszę;
Zda się, że zastęp duchów pokoju
Na skrzydłach swoich klasztor kołysze.

Czasem się dzwonek ozwie w kaplicy,
Wznoszą się k' niebu kadzideł wonie,
A przed ołtarzem Matki-dziewicy
Swem mdławem światłem wciąż lampa płonie.
Czasem ubogi w furtę kołata,
Lub cień w półmroku przemknie się mniszy:
Jakby zaklęte z innego świata
Miejsce miłości, modlitwy, ciszy...

Panowie zamku w mordach, łupieży,
Klasztorni bracia wciąż żyli w Bogu;
Nędza skrzywdzona chęcią grabieży,
Biegła się tulić w klasztornym progu.
W lochach zamkowych brzmią wieczne jęki,
Łzami przesiąkły mury więzienia,
Lecz łzy, ni prośby, ni oków brzęki,
Nie wzruszą władców serca z kamienia.

W klasztornych lochach dzień się nie bieli,
Pusto i głucho: to państwo skonu;
Tutaj czekają mieszkańce celi
Dnia, co ich wezwie do Pana tronu;
Tu cisza święta: płyty kamienne
Kryją w około pomarłych kości;
Na nich usiadło bóstwo promienne —
Bóstwo nadziei w blaskach wieczności.

Nigdy za życia zamku rycerze
Nie przystanęli w klasztornym progu,
By uczestniczyć w świętej ofierze;
Nie poświęcili ni chwilki Bogu.
Lecz dla każdego nadeszła chwila,
Gdzie go wnoszono w klasztorne mury:
Gdy życie pierzchło skrzydłem motyla,
A u wezgłowia siadł skon ponury.

Bo grób rodowy mieli magnaci
Tam, gdzie zakonnych grobowców głazy;
Krwawi tyrani śród mniszej braci
Spali, niepomni wiecznej urazy.
Był tam na starej dzwonnicy wierzchu
Dzwon w srebrną łuskę z kunsztem rzezany.
Tylko nietoperz lecąc o zmierzchu
Głową uderza o jego ściany.

Tylko nim wicher czasem kołacze,
Co się przez szpary wieżycy wkrada;
Tylko nim w północ dzwonią puchacze,
Gdy ma do zamku wkroczyć śmierć blada.
Na święto nigdy, ni na pacierze,
Nie budził echa ów jęk ponury.
Na który bledli zamku rycerze,
Drżały w posadach zamkowe mury.

Jeśli się ozwał z dzwonnicy starej,
Na zamek trwoga padała głucha:
Milkną oręże, puste puhary,
Pieśni minstrela nikt już nie słucha;
Cisza na miejscu rozpustnej wrzawy,
Posępność wszystkie osiadła czoła;
Tyran drży patrząc na żywot krwawy,
Korzy się w obec śmierci anioła.

Lecz gdy ten skona, wnet wstaje nowy,
Biorąc spuściznę lenną od króli,
Piosnkę rozpusty, puhar godowy,
I klątwy ludu, i łzy niedoli.
Wreszcie ostatni potomek rodu
Zawładnął zamkiem, Wiliheld krwawy;
Aż Renem płyną strugi win, miodu,
Nie spocznie w pochwie miecz ze krwi rdzawy.

Wiliheld przeszedł ojce i dziady,
Przed żadną w życiu nie zadrżał zbrodnią.
Pożarne zgliszcza to jego ślady,
W okół postrachu błyska pochodnią;
Próżno wołano pomsty łzą białą,
I krwi się dymy wiły w niebiosy;
Z łez i krwi niebo szydzić się zdało,
Wciąż głuche było na klątwy głosy...

To też Wiliheld, ufny w swe siły,
Nie znał przed czemby mógł się ukorzyć;
Jednej się tylko lękał mogiły,
Chciałby się nigdy w grób nie położyć.
Lękał się dzwonka, co do pacierzy
Zawsze klasztorną wołał drużynę;
W myśli mu stawał srebrny dzwon z wieży,
Co miał mu w straszną zabrzmieć godzinę.

Ilekroć spojrzał na klasztor cichy,
I na dzwonnicę próchnem świecącą,
Przeklinał w myśli dzwon, klasztor, mnichy,
Ślubował sobie zemstę gorącą.
Zemstę? i za co? dobrze nie wiedział,
Wadzi mu spokój, gdy w nim wrą burze:
Wadzi mu straszny bezmierny przedział,
Co dzieli klasztor i zamku wzgórze.

I to mu wadzi, że oprócz niego
Jest ktoś, co hołdy odbiera w darze,
Pan wyższy nadeń! Nie dośćże tego,
By pragnął święte zwalić ołtarze?
Raz gdy na ucztę z łupiezkich bojów
Wrócił ponury i krwią ociekły,
A myśl daremnych tym razem znojów
Żądze mu zysków w szał zmienia wściekły;

Kazał przygasić jasność pochodni,
Odmówił uczty w rycerskiem gronie;
Samotny z czaszą snuł wątek zbrodni,
W tem szyki miesza mu myśl o dzwonie.
I stanął chwilkę, jak lew rozżarty,
Co nagle przepaść ujrzy pod nogą.
Gdy z drugiej strony, na step otwarty,
Zdobycz nieścigłą uchodzi drogą.

I lęk paniczny ozwał się w duszy,
I chwilę, chwilkę błysła pokora;
Lecz tem straszniejsza burza po duszy,
Więc ryknął giermkom: „Zwać tu przeora!“
Giermki, rycerze, trwogą pobledli,
Nie śmieją pojrzeć w gniewną twarz pana;
Minstrele niemi przy lutniach siedli,
Ciszę krok tylko mąci tyrana...

W tem spiż się z lekka rozwarł złocony,
W progu przystanął starzec gołębi;
— „Chryste! — rzekł głośno — bądź pochwalony!“
Odrzekła cisza... więc wszedł do głębi.
Wiliheld ręką dał znak w około:
Już sam — do starca nagłym mknie krokiem,
Huragan gniewu orze mu czoło,
Gromowa chmura zwisła nad okiem.

— „Starcze!“ — zawoła, przed jego głosem
Chrzęsły na ścianach dziadów zbroice;
Ale ten starzec, choć z mlecznym włosem,
Ni się go ulękł, ni ściągnął źrenice.
„Starcze! tam u was złote ołtarze,
Lada mnich szaty ciężkie ma złotem —
Dziś w moim skarbcu złożycie w darze
Wszystko, co kruszcem lśni, lub klejnotem.“

„Milczeć mi mnichu! nie koniec jeszcze!
Jest w tej dzwonnicy waszej omszałej
Dzwon, co gdy w jęki zabrzmi złowieszcze,
Czas mi już będzie skończyć dni chwały...
Przeto natychmiast ściągniesz go z wieży,
W mennicy srebra zabrakło mi właśnie...
A teraz ruszaj! Północ uderzy!
Stawić się z dzwonem, nim jutrznia zgaśnie.“

Lecz przeor rzecze: — „Próżne rozkazy!
Dzwon ów, to świętość, relikwia nasza!
Cudami słynny tylekroć razy,
Niechaj więc ręka nie tknie go wasza!“
Wiliheld stanął, rażon jak gromem,
Raz pierwszy w życiu doznał oporu;
Ktoś się przed jego nie ulękł sromem,
I to kto jeszcze? Ha! mnich z klasztoru!

— „Precz go — zawoła — chwyćcie z przedemnie,
I tam go wleczcie do czarnej skały!
W wiecznie dyszące podziemia ciemnie
Strącić go zanim świt zejdzie biały...“
Wściekłość mu miesza groźne wyrazy,
Pląe mu myśli — co mówi nie wie...
Drżą przed nim giermki, bacząc rozkazy,
Jak liść jesienny drga w burzy wiewie.

Przez okno wąskie i malowane
Promień księżyca przekradł się blady;
Czy to pokoju bóstwo świetlane
Stoi w półcieniu smukłej arkady?
To on! to przeor, powód tej burzy,
Ni cień mu trwogi nie bruździ czoła,
Ni cień mu gniewu oka nie chmurzy:
Twarz jego cicha — niemal wesoła.

Wreszcie pachołkom rozkaz wydany;
Przeor, nim przyjdzie chwila wyroku,
Leży przykuty do twardej ściany
W samotni, głodzie, więziennym mroku.
Wiliheld wymyśla ciągle katusze,
Dzień ostateczny zwleka umyślnie;
Przeor wciąż modłą pokrzepia duszę,
Nie jękną usta, wzrok łzą nie błyśnie.

(Dok. nast.)

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIII.

Podstęp Gabryela odkrywa się.

Pomimo pozornego spokoju i pewnej rzeczywistej ulgi, Gabryel dalekim był od tego, by być zadowolonym z rezultatu swej wizyty u pani Markle. Jak się tam to nie stało — o czem czytelnik wie tylko tyle, ile Gabryel opowiedział swej siostrze — istota jego nie bardzo była w harmonji ze stanowczością własnego oświadczenia. Przez parę dni unikał wszelkich napomknień w tym przedmiocie ze strony Olly; ale na trzeci dzień miał z jednym górnikiem z Heureka-Bar rozmowę, która zdawała się być w pewnym stosunku z niedawno zrobionem doświadczeniem.

— W nowszych czasach wiele piszą w dziennikach o sprawach sądowych dotyczących zerwania układów małżeńskich, powiedział Gabryel uważnie. Rozpatrzywszy tę rzecz należycie, zdaje się, że nie ma wiele widoków taki mężczyzna, który mniej więcej przyjacielsko obszedł się z kobietą. Wszak prawda?

Zapytany, o którym mówiono, że umknął do One horse gulch przed swoją żoną, zauważył zakląwszy, że ród kobiecy jest istnym rodem

warjatów, i że kobietom i wszystkim panującym zasadom ufać nie należy.

— Musi jednak istnieć jakaś ogólna ustawa w tym przedmiocie, zauważył Gabryel. Jakie byłoby twoje zdanie, gdybyś jako przysięgły, w takim razie miał wydać wyrok? Posłuchaj no, co niedawno wydarzyło się jednemu memu przyjacielowi w Frisco, — ciągnął dalej położywszy nacisk na ostatnie wyrazy — człowiekowi, którego nie zna. Była jedna kobieta — powiedzmy wdowa — która już dwa czy trzy lata koło niego uwijała się; ale on ani jednem słowem nienapomknął o małżeństwie, albo czemś podobnem. Pewnego pięknego dnia idzie on do jej domu, ot tak, poprostu, byle pogawędzić z godzinkę i pobyć trochę w towarzystwie...

— To już źle — przerwał mu górnik.

— Tak, odrzekł Gabryel ze zwątpieniem, być może, że źle... ale widzisz, on nic złego nie zamyślał.

— No i cóż dalej? zapytał doradca.

— Wszystko? zawołał dosadnie podnosząc głos.

— No — i to wszystko? rzekł Gabryel.

— Wszystko. Teraz kobieta daje do zrozumienia, że wytoczy przeciw niemu skargę aby go zmusić do ożenienia się.

— Moje zdanie, rzekł doradca krótko, moje zdanie jest takie, że mężczyzna — był osioł, i że ci prawdy nie powiedział. Ja skazałbym go na koszta za to, że taki osioł.

Wyrok ten tak gnębiąco oddziałał na Gabryela, że odwrócił się utraciwszy nadzieję. Nie mógł jednak w teraźniejszem swem usposobieniu umysłu zaniechać dalszych badań w tym przedmiocie, i w ogólnej rozmowie, która miała miejsce w sklepie Brigga popołudniu między palącymi fajki, znowu zręcznie naprowadził na miłostki i ożenienie się.

— Są różne metody zbliżania się do kobiety, rzekł proroczy Johnson, zjednawszy sobie słuchaczów wymownym opisem własnej swojej metody — są różne metody, tak jak są różni mężczyźni i kobiety na świecie. Ale nie każdego mężczyzny metoda da się zastosować do każdej kobiety. Jest wszakże jedna droga, po której prawdopodobnie można dojść do celu. A to — udawanie obojętności, nie okazywanie nigdy, że kobieta podoba się i tylko tak, ogólnikiem, trocha nią się zajmując; mniej więcej tak jak Gabryel swoimi chorymi... ale z niczem stanowczem nie wyrywać się! Cóż to, Gabryelu? przecież jeszcze nie odchodzisz!

Gabryel, który wstał mocno zaniepokojony, wybąkał coś o tem, że „pora iść do domu“ i znowu usiadł, z przerażeniem na Johnsona spoglądając.

— Jestto prawie pewna metoda do opanowania kobiety, ciągnął Johnson dalej, i na mężczyznę, który sobie tak postępuje, powinna zważać policja; takie rzeczy powinne być prawnie zabronione. To jest igranie z najświętszemi uczuciami, pojmujecie? Taki mężczyzna powinien być przyaresztowany gdzie się znajdzie.

— Ale może mężczyzna nic nie zamyślał, może to taki sposób postępowania, wtrącił Gabryel zakłopotany i spojrzał po obecnych — może nie myślał ani o kobiecie, ani o ożenieniu, a miał tylko taki sposób postępowania...

— Sposób! do djabła z takim sposobem! zawołał pogardliwie oburzony Johnson. To właśnie jest najpodstępniejszy ze wszystkich podstępów, to jakby kto żebrał z pełną garścią!

Gabryel wstał powoli i unikając dalszej rozmowy, posunął się ku drzwiom, zrobiwszy uwagę, że pogoda jest szkaradna i licząc na to, że obecni będą przekonani o zupełnej jego obojętności co do poruszonego przedmiotu. Potem pobrnął wśród ulewnego deszczu, który cały dzień lał w One horse gulch, i jedyną ulicę tego miasta przeistoczył w ogromną kałużę.

— Z Gabem coś się nie bardzo dobrze dzieje, rzekł Johnson. Słyszałem jak adwokat Maxwell dziś rano wypytywał się o niego. Sądzę, że w tem musi coś być. Gab jest wcale niezły chłopiec. Niema on wprawdzie nad miarę rozumu, ale ma doskonałe zalety do pilnowania chorych, a taki człowiek jest dla nas nieoceniony. Spodziewam się, że nic mu się nie stanie takiego, coby przerwało jego poczciwą działalność.

— W każdym razie ukrywa się w tem jakaś kobieta, zauważył Briggs. Zdawało się, że bardzo go interesowało, coś mówił niedawno o tym gatunku ludzi. Są tu u nas ludzie, dodał oglądając się i zniżając głos, którzy utrzymują, że mała Olly, którą on wydaje za swoją siostrę, w rzeczywistości jest jego córką. Żaden mężczyzna nie zajmowałby się tak dziecięciem i z jego powodu tak siebie nie ograniczałby, nie wyrzekałby się kobiet, wódki, kart, kompanji, gdyby to dziecię nie było jego dziecięciem. Takich braci niema tam, skąd ja przybyłem.

— A szczególne rzeczy opowiada... te historje o głodzie... i jak w końcu wyzwolili się... dorzucił inny. Nie bardzo mi się chce wierzyć temu.

— No, to już jego rzecz, rzekł Johnson, mnie to nie obchodzi. Jeżeli robię mu przyjemność tem, że zwracam jego uwagę na tego lub owego chorego, a czasem dam wskazówkę, jak ma się z nim obchodzić, to nie potrzebuje on być mi niewdzięcznym za to.

— A ja, jeżeli także nie miałam nic przeciw temu, rzekł Briggs, że przychodził tu leczyć chorego Meksykanina, to nie wypada jeszcze z tego bym dbał o jego charakter.

Tu krytyczna owa rozmowa, została przerwana nadejściem nowego gościa.

Tymczasem godny pożałowania przedmiot jej, powoli przesuwając się pod domami wśród gwałtownego wichru z gór wiejącego, doszedł w końcu do ścieżki wiodącej do jego chaty stojącej na przeciwległej górze. Gdyby chciał iść tą ścieżką, to musiałby przechodzić koło oberży pani Markle. Wszakże po rozmaitych radach jakie w ciągu dnia otrzymał, poczytał to za wyzywanie losu i nie chciał tak zaraz znowu na niebezpieczeństwo narażać się; wdowa bowiem i Sal, gdyby przechodził, mogły go napaść i zmusić do wstąpienia; a może nawet już to samo, że przechodzi wywołałoby u wdowy hysteryczny paroksyzm — o czem nawet w zatrwożonem swem sumieniu najmocniej był przekonany.

Jedynie możebna inna droga do jego chaty wiodła bokiem góry i idąc nią musiałby nałożyć najmniej trzy mile drogi. Nie przestraszył się jednak tego i bez wahania poszedł pod górę. A nie łatwą to było rzeczą gramolić się po skałach, gdy silny wiatr wiał a deszcz smagał w same oczy. Gabryel jednak przezwyciężył siłą swych muskułów te trudności, a w zajęciu tem doznawał nieco ulgi w swych moralnych cierpieniach. — Gdy wszedł na szczyt góry, po raz pierwszy zastanowił się nad potężną siłą, jaką natura przy słabych stosunkowo środkach w ciągu deszczów w ostatniem tygodniu rozwinęła. Mały górski strumień z trudnością ściekający w dolinę, w którym przed dwoma tygodniami, podczas przechadzki z Olly, gasił pragnienie, przeistoczył się w szumiący wodospad; inny wąski strumyczek, który wówczas przeskakiwali, teraz stał się rzeką. W dolinie widać było tworzące się stawy. Na szerokiej równinie połyskiwały jeziorka i szum napełniał powietrze.

Szedł tak z pół godziny i już odbył dwie mile tej uciążliwej drogi, gdy się znalazł przed zagłębieniem, które powóz pocztowy z Wingdam w drodze do Marysville musiał przebywać. Podszedłszy bliżej ujrzał, że górski strumyk, płynący tuż koło pocztowej drogi, już znaczną część jej podmył, i że ta w niektórych miejscach całkiem pod wodą znajdowała się.

— Trudna będzie tędy przeprawa, rzekł sam do siebie, myśląc o pocztowym powozie, który wkrótce miał się tu ukazać; niemiła i niebezpieczna przeprawa, zwłaszcza trwożliwemi końmi; ale dzieją się jeszcze nieprzyjemniejsze rzeczy na świecie, pomyślał, i obraz pani Markle stanął mu przed oczyma. Gdybym pomieniał się z Billem i siadł na koźle, a Olly była w powozie, to straciłbym głowę!...

W tej chwili ukazał się jego oczom wodozbiór kopalni Wingdam, a wraz z nim zdarzył się fakt, który natychmiast rozpędził wszystkie myśli o pani Markle i całą istotę jego, jakby za dotknięciem czarodziejskiej rószczki, przeistoczył. — Co to było? W oczach zwyczajnego wędrowca pozornie nie było nic. Zabezpieczony groblą wodozbiór był pełny, a przez kanał odwodowy z szumem wypadał nadmiar wody gwałtownym potokiem. — Więcej nic? Ale doświadczone oko natychmiast zauważyło, że przez odpływającą wodę, masa jej, zawarta w zbiorniku, wcale się nie zmniejsza. — Czy to wszystko? — Nie! — Prawie w środku grobli, z miękiego kamienia urządzonej, sączyła się woda szparą coraz więcej rozszerzającą się pomiędzy skałami ku zagłębieniu, przez które przechodziła droga pocztowa! Ściany grobli usuwały się... W jednej chwili, zrzucić z siebie zbyteczną odzież, ze skały na skałę i z kamienia na kamień przeskakując, chwytając się to za rośliny, to za korzenie drzew, z narażeniem życia i całości członków, i pędzić naprzeciw toczącemu się tą drogą powozowi by uprzedzić o niebezpieczeństwie — na takie postanowienie w jednej chwili zdecydował się zacny człowiek. — Wykonać to z jak najmniejszem wytężaniem sił i zachowaniem ich, aż do ostatniej chwili, a wykonać ze zręcznością górala, prosto a rozważnie, jak gdyby cała rzecz była oddawna ułożona — były to charakterystyczne cechy Gabryela Conroy.

Gdyby kto mógł widzieć, jak lekkim krokiem podążał, jak twarz jego nie wyrażała żadnego wysilenia, jak wzrok jego był przy całej bystrości spokojny — to mógłby mniemać, że to jakiś olbrzym potężny używa w ten sposób przyjemnego ruchu.

Zaledwie ubiegł w ten sposób pół mili, gdy czujne jego ucho zasłyszało cichy szmer bliskiej wody. Ale i teraz trocha tylko przyspieszył kroku. — Prawie jednocześnie dał się słyszeć trzask i łomot na drodze przed nim... „Wstrzymać się!... zwróć!...“ krzyknął donośnie — ale już było zapóźno. Pędząca za nim woda teraz go dognała i

powaliła. W następnej chwili powóz i konie, jak jedna czarna masa uderzyły o skalistą ścianę. Teraz nadeszła chwila, w której Gabryel mógł rozwinąć całą swą olbrzymią siłą. Porwany gwałtownym prądem wody, nie marnował on sił swoich w bezużytecznej walce, lecz pozwolił miotać sobą w tę i ową stronę, dopóki nie udało mu się pochwycić za łodygi jakiejś pnącej się rośliny zwieszającej się ze skały. Natenczas wydźwignął się w górę. Powóz znikł. W miejscu gdzie stał, wiły się jakieś niejasne postacie wśród fal. Jedna z nich była kobietą.

Gabryel, jak tylko ją ujrzał, natychmiast rzucił się w żółto-błotnistą wodę. Kilka silnych ruchów postawiło go przy niej; w następnej chwili, silną ręką objął ją wpół, i podniósł jej głowę ponad wodę. Ale jednocześnie uczuł się pochwyconym dwiema zrozpaczonemi rękami z drugiej strony... Nie wyrwał się z tych rąk, tylko zawołał z zimną krwią: „Chwyć się mnie niżej, a dopomogę wam obojgu!" i popłynął poruszając jednę swą swobodną ręką ku brzegowi. Dostał się tam i oba trzymające się go ciała wyniósł do góry. Zaledwie dostał się na ów brzeg, gdy usłyszał pod sobą złowrogi huk i nowa masa wody wpadła w dolinę... Brzeg począł uginać się pod ciężarem. Gabryel wkopał swe palce w ziemię... kolanami objął ostre brzegi skały pod sobą... przytrzymał ciało kobiety, ku ściance skały ją podsuwając... A podczas gdy fale szalały pod nim, rozległ się rozpaczliwy krzyk — i mężczyzna nagle znikł w głębinie. Tylko Gabryel i kobieta pozostali na brzegu. — Byli ocaleni, ale tylko na chwilę. Słaby cypel, którego Gabryel się trzymał, zaledwie można było poczytywać za bezpieczny. Teraz dopiero spojrzał na kobietę; potem zapytał:

— Czy jesteś pani w stanie trzymać się mnie czas jakiś?

— Jestem.

Nawet w chwili najwyższego niebezpieczeństwa, zrobił na nim wrażenie jej głos miły.

— Obejmij mię pani rękami za szyję.

Zrobiła jak powiedział, i Gabryel puścił prawą swą rękę. Zaledwie zwracając uwagę na ciężar, który wskutek takiej zmiany położenia nacisnął jego ramiona, pochwycił za wystającą ponad sobą skałę i z tak potężną siłą wyciągnął się w górę, że mógł stanąć nogą w zagłębieniu, z którego wyrastał korzeń pnącej się rośliny.

— Czy może pani jeszcze chwilę trzymać się? zapytał.

— Mogę, była odpowiedź.

Gabryel pogramolił się wyżej. Znalazł jedną część wystającą, potem drugą, w końcu dosięgnął do płaszczyzny mającej około stopy przestrzeni. Tam zatrzymał się. Teraz przemówiła kobieta.

— Czy zdołasz pan dostać się na szczyt?

— Tak... jeżeli pani...

— A więc dalej! rzekła.

I Gabryel począł wspinać się wyżej. W kilka chwil dosięgnął szczytu skał i tu mu ręce nagle opadły. Rozbiłaby się o kamienne brzegi, gdyby nie pochwycił jej szybko, nie wziął na ręce i nie poniósł dalej ku obalonej jodle, której opadłe szpilkowe liście zasłały wilgotny grunt i jakby dywanem pokryły. Tam złożył swój ciężar ostrożnie, z umiejętnością, która mu bardzo była pomocną przy pielęgnowaniu chorych. Kobieta podziękowała mu, ale z tak urocznem wykazaniem swych ząbków i tak dziwnem spojrzeniem ciemnych oczu, iż nie mógł przemódz na sobie by jeszcze raz nie popatrzeć na nią. Była to mała blondynka, z gustem w skromną suknię ubrana. Gdyby nie uśmiech, nie wydałaby się piękną. Z tym śmiechem na twarzy zbladła i zemdlała.

Jednocześnie usłyszał Gabryel głosy i dostrzegł, jak dwóch byłych podróżnych w powozie, którzy się prawdopodobnie także uratowali, wspinając się na skałę przybliżyło się do niej. Natenczas — zaledwie zdołam tu wytłumaczyć — opanowało go nagle jakieś przykre uczucie; — pomyślał o podejrzeniu jakie może wzbudzić szczególne jego położenie i zapytał sam siebie co też oni o tem pomyślą? Czy uwierzą jego opowiadaniu? Przypomniał sobie niedawną rozmowę u Briggsa, gniewne twarze chudej Sal i uroczej pani Markle; nawet bystre oczy małej Olly — i ten bohater, ten zwycięzki olbrzym, odwrócił się i umknął.

ROZDZIAŁ XIV.

Prostota wobec przebiegłości.

Gdy Gabryel powrócił do swego domku, było już ciemno i Olly z niespokojem czekała jego przybycia.

— Cały jesteś przemokły! zawołała, ty brzydki Gabie, cały błotem zawalany! Idź przebierz się, albo przyprawisz się o śmierć, ty niepoprawny grzeszniku!

Ton, w jakim te słowa były wymówione, miał w sobie coś niezwykłego w Olly; ale Gabryel był rad, że zaoszczędzono mu dalszych wypytywań, ażeby miał to zganić zaraz. Jednak gdy wyszedł znowu z po za płóciennej przegrody w suchem ubraniu, zdumiał się, spostrzegłszy przy świetle tylko co zapalonej świecy, że w powierzchowności Olly od rana zaszła zupełna zmiana. Pominąwszy niezwykłą czystość twarzy i rąk i próbę podtrzymania złotych kędziorów różową wstążeczką, w ubiorze widoczna była pewna poprawność, ujawniająca się zwłaszcza w pożółkłym koronkowym kołnierzyku, wyszukanym pomiędzy rzeczami matki i w fioletowej wstążce na szyi.

— Zdaje mi się, rzekł uradowany Gabryel, że niektóre osoby stroiły się i robiły toaletę, gdy mnie nie było. Czy i dziś będziesz babrać się w kałuży, Olly?

— Nie, odrzekła Olly z pewną godnością, zająwszy się nakrywaniem stołu do wieczerzy.

— Ale ja zaledwie przypominam sobie bym cię kiedy widział tak wystrojoną, Olly; ktoż tu był? dodał nagle zaniepokojony.

— Nikt, odrzekła Olly; sądzę iż są ludzie, którzy bez obcej pomocy umieją sobie zaradzić aby przyzwoicie wyglądali, a przynajmniej bez Zuzanny Markle.

Od tej ostrej strzały Gabryel drgnął.

— Posłuchajno, Olly, powiedział, nie powinnaś tak mówić o tej kobiecie. Jesteś tylko dzieckiem i jeżeli twój brat zwierzył ci się z tem i owem, jak to zwykle brat z siostrą, to nie powinnaś nic o tem mówić.

— Nic nie mówić! powtórzyła Olly pogardliwie, czy myślisz, że ja powiedziałabym co? A toby było!

Gabryel ze zdumieniem spojrzał na siostrę i w głębi swej dręczonej wyrzutami duszy uczuł, że wcale nie zasłużył na taką dzielną małą orędowniczkę. Przez chwilę przychodziło mu na myśl powiedzieć jej prawdę; ale obawa drwin Olly powstrzymała go od tego. „Zresztą, pomyślał w przystępie zadowolenia z samego siebie, być może, iż wyjdzie to na korzyść dziewczyny..." Zasiadając do wieczerzy, Gabryel czuł się, jedząc, przytłoczonym radami i napomknieniami, jakie tego dnia otrzymał. Gdy Olly skończyła wieczerzę (zauważył przytem, że widocznie z wielkiem poświęceniem zaniechała wycierania chebem patelni) zwrócił się do niej z powagą, i rzekł:

— Gdyby cię zapytano, Olly, czy ja umizgałem się do pani Markle, cobyś na to odpowiedziała?

— Cobym odpowiedziała? rzekła Olly, — powiedziałabym, że jeżeli kiedy była kobieta, która uganiała za mężczyzną, nie mając powodów do tego, to kobietą tą jest pani Markle, stara, brzydka, Zuzanna Markle. Takbym powiedziała — i to samo powiem jej w oczy!... Posłuchaj no, Gabie!

— Cóż takiego? zapytał.

— Jak nauczycielka tu przybędzie, weź się do niej!

— Olly! zawołał Gabryel przerażony.

— Weźno się tylko do niej. Rób tak znią jak robiłeś z Zuzanną Markle... A rób tak, Gabie, aby pani Markle mogła to widzieć, albo choć mała Manty — ona matce opowie. Słyszałam, Gabie, że między nauczycielkami jest wiele pięknych.

Pragnąc przypodobać się Olly, Gabryel opowiedziałby jej swe przygody podczas burzy, ale jakaś nieokreślona obawa, by Olly nie zażądała ażeby damie, którą uratował, natychmiast ofiarował swoje serce i rękę, kazała mu zaniechać tego. A przytem w tejże chwili zapukano do drzwi.

— Zapomniałam ci powiedzieć Gabie, że był tu dziś adwokat Maxwell i chciał z tobą rozmówić się, rzekła Olly — i założę się, że to on puka. Jeżeli on zechce byś kogo chorego doglądał, Gabie, to nie rób tego! Masz dość do roboty, jeżeli mnie doglądasz!

Gabryel wstał zaczerwieniony i otworzył drzwi. Wszedł słuszny, ponury mężczyzna z mocno posiwiałą brodą. W zachowaniu się jego i ubiorze — chociaż i pierwsze i drugie zastosowane były do miejscowych zwyczajów, było coś znamionującego, iż jestto człowiek wyższy nad zwykłe towarzystwo w One horse gulch. Nie powiódł on wzrokiem po pokoju, lecz utkwił dwoje przenikliwych oczu, pół wesołych napół badawczych, w twarz Gabryela, i zatrzymał je na niej. Zwykły wyraz jego twarzy był umiarkowanie poważny, wyjąwszy pewnego jakby nerwowego drgania w lewej stronie ust, które zwykle wtedy dopiero ustawało, gdy lekko potarł tę część ręką. Wrażenie jakie to robiło na patrzących było tego rodzaju, jak gdyby chciał obetrzeć uśmiech, tak, jak wielu ludzi łzy sobie obciera.

— Nie sądzę bym kiedykolwiek przedtem spotykał pana, rzekł podchodząc do Gabryela i podając mu rękę. Nazwisko moje jest Maxwell. Zapewne musiałeś pan słyszeć o mnie. Mam z panem parę słów do pomówienia.

Nie uszła jego uwadze bladość Gabryela, ani też ruch ręki, dający do zrozumienia Olly, by odeszła. „Widocznie, pomyślał sobie, chłopak nic o rzeczy nie wie, nie jest przygotowany. Przestraszyłem go."

— Jeżeli się nie mylę, Gabryelu, powiedział głośno, to mała wasza... dziewczynka jest tak sama w sprawie interesowana jak wy. Dlaczegożby nie miała zostać?

— Nie, nie, rzekł Gabryel, który w głębi znękanej swej duszy był teraz najzupełniej przekonany, że Maxwell przybył jako prawny obrońca pokrzywdzonej pani Markle. Nie, Olly, pójdź do

drwalni i przynieś trzasek dla rozniecenia ognia jutro rano. Biegnij!

Olly wybiegła. Maxwell spojrzał za odchodzącą, obtarł sobie twarz i wsparłszy się łokciami na stole utkwił oczy w Gabryela.

— Przychodzę tu, Gabryelu, tak zaczął, aby się dowiedzieć czy nie będziemy w stanie rozjaśnić pewną rzecz bez trudności i to — ponieważ reprezentuję sprawę strony przeciwnej — w jak można najkrótszych słowach. Otwarcie mówiąc, papiery dla rozpoczęcia działań prawnych przeciw panu są w mojem ręku. Teraz proszę posłuchać. Czy potrzeba bym pana uwiadomił o podstawie procesu? A dalej, czy potrzeba bym go uwiadomił o imieniu mojego klienta?

Gabryel spuścił oczy, ale i teraz uczciwa jego natura przemówiła. Podniósł głowę do góry i prosto powiedział:

— Nie!

Adwokat Maxwell zawahał się przez chwilę, lecz niedługo, a potem powiedział z namysłem:

— Dobrze. Teraz pozwól zadać sobie pytanie: ażeby uniknąć postępowania sądowego, jawności i skandalu, czy jesteś pan usposobiony, dom ten, wraz z prawem, odstąpić jako wynagrodzenie za poprzednio poczynione krzywdy? Pozwól przytem nadmienić, iż istnieje bezwzględna pewność, że przegrasz proces, jeżeli mu takowy wytoczony zostanie. Jeżeli pan zgodzisz się na to, to mogę wziąć dom jako wynagrodzenie. Sądzę, iż mogę przyznać, że nawet kwestja bliskiego pokrewieństwa nie zostanie poruszoną. Krótko mówiąc *ona* będzie mogła *swoje* nazwisko zatrzymać, a *pan swoje* i pozostaniecie nadal obcymi sobie. Co pan myślisz o tem?

Gabryel wstał i z drżeniem pochwycił rękę adwokata.

— Pan jesteś zacny, uprzedzający człowiek, panie Maxwell, powiedział, silnie ściskając tę rękę, pan jesteś dobry człowiek! Brzydka to historja, ale na dobre wyszła. Gdybyś pan był moim obrońcą zamiast jej, lepiej nie zrobiłbyś mi. Ja to zaraz załatwię. Zawsze tak myślałem, od czasu jak począłem jasno pojmować sprawę. Otrzymasz pan dom ze wszystkiem co się w nim znajduje. Gdybym miał jeszcze co takiego, czem mógłbym panu wynagrodzić — i to oddałbym. Niech sobie weźmie dom i wszystko co do niego należy. Ale czy w takim razie nic się z tej sprawy nie rozgłosi?

— Ani jedno słowo, rzekł Maxwell, ze zdziwieniem spoglądając na Gabryela.

— Żadnej gadaniny? Nic w dziennikach? pytał dalej Gabryel.

— Zachowanie się pana względem niej w całej tej sprawie pozostanie w głębokiej tajemnicy, chyba by pan sam się zdradził. I to jest właśnie powód dla którego radzę panu opuścić miejsce.

— Zaraz jutro uczynię to, rzekł Gabryel, zacierając ręce. Czy mam dać panu co na piśmie?

— Nie, nie, — odrzekł adwokat, obcierając sobie twarz ręką i spoglądając na Gabryela tak, jak gdyby ten należał do jakiegoś nowego gatunku stworzenia. Pozwól mi pan poradzić sobie jak przyjacielowi: nic nie podpisuj coby potem przeciw panu mogło być użyte. Proste odstąpienie praw i domu wystarcza najzupełniej dla naszych celów. Do czwartku nie wygotuję żadnych papierów tej sprawy dotyczących. Do tego czasu spodziewam się, że nie znajdę nikogo takiego komuby mogły być przedstawiane. Rozumiesz mnie pan?

Gabryel skinął głową i serdecznie uścisnął rękę adwokata. Maxwell poszedł ku drzwiom z oczami ciągle w Gabryela uczciwą twarz utkwionemi. Na progu stanął, odwrócił się, obtarł sobie powoli twarz i rzekł:

— Według wszystkiego co widzę, Gabryelu, pan jesteś uczciwy chłopiec i otwarcie powiem, że gdyby nie własne wyznanie pana ja nigdybym nie poczytał go za mogącego krzywdę wyrządzić kobiecie. Sądziłbym raczej, że zaszła tu jakaś omyłka. Naturalnie że nie mogę sądzić o motywach; za starym jestem adwokatem i zanadto obeznanym z tego rodzaju rzeczami, ażebym mógł podziwiać motywa ludzi, lub też przyznawał im słuszność albo niesłuszność według własnego pojmowania. Ale teraz gdy się rozumiemy, wyjaw mi pan motywy tego dziwnego i okrutnego złudzenia; to nie zmieni zdania mojego o panu, który wcale nie jesteś złym człowiekiem. Ale ciekawy jestem dowiedzieć się, jak pan mogłeś dojść do tego ażeby tej kobiecie z rozmysłem krzywdę wyrządzić; co to był za powód?

Twarz Gabryela oblała się rumieńcem. Potem podniósł oczy i wskazał na ścianę. Adwokat spojrzał w kierunku jego palca i ujrzał Olly stojącą pode drzwiami. Uśmiechnął się i powiedział sam do siebie: „Kobieta się wmięszała, chociaż młodsza aniżeli spodziewałem się; naturalnie, że musi to być jego dziecko.“ Potem znowu kiwnął głową, uśmiechnął się do Olly i z przeświadczeniem, że osiągnął tryumf w swej praktyce, połączony z pewnem moralnem zadowoleniem, które nie zawsze praktyce towarzyszyło, znikł w ciemnościach nocy.

Gabryel unikał do późna wszelkiej rozmowy z Olly. Ale ta, gdy jak zwykle usiadła u nóg jego przy ogniu odrazu przystąpiła do rzeczy.

— Czego on chciał, Gabie? zapytała.

— Nic szczególnego, odrzekł Gabryel z pozorną obojętnością. Właśnie myślałem, Olly, że muszę ci opowiedzieć jednę historję. Dawno już nic ci nie opowiadałem.

Było zwyczajem, że takie wolne chwile Gabryel poświęcał na opowiadanie miejscowych nowin i bieżących wypadków, które umiał zręcznie okrywać szatą poezji.

Dopiero w ostatnich czasach, gdy pani Markle tak wiele dała mu do myślenia. zaniechał tego zwyczaju. Teraz Olly skinęła główką, a on tak zaczął:

— Był raz człowiek, który żył i chciał żyć sam, i to właśnie było w nim wielką oryginalnością... Chciał żyć tylko z małą siostrzyczką, którą bardzo, bardzo kochał. Nie było nikogo takiego, któremuby pozwolił, że tak powiem, wtrącić się pomiędzy siebie a swoją siostrę... i dziwnie brzmiały liczne poufne zwierzenia i poufne rozmowy jakie ten człowiek z nią miewał.

— Czy to był prawdziwy mężczyzna? zapytała Olly.

— Był prawdziwy, ale mała siostrzyczka była czarodziejką, która posiadała wielką potęgę w robieniu dobrze temu mężczyźnie bez jego wiedzy, chociaż w jego oczach. Mieszkali w pewnym rodzaju zamku, w głębokim lesie, razem. Pewnego dnia taki mu się kłopot nadarzył, iż znalazł się zmuszonym do opuszczenia tego pięknego zamku; a nie wiedział jak o tem ma uwiadomić małą swoją siostrzyczkę; ale zdobył się na odwagę i powiedział, tak jej powiedział: „Glorjano — tak się nazywała — Glorjano, powiedział jej, musimy opuścić piękny zamek i powędrować w obce kraje; a co mnie do tego powoduje, jest tajemnicą, której wyjawić nie mogę. A mała siostrzyczka powiedziała: „Co ty uznajesz za słuszne, to i ja uznaję, gdyż dwoje nas tylko jest na tym szerokim świecie, a zmiana jest źródłem życia więc jutro spakuję moje rzeczy.“ I tak się stało. Dlaczego Olly? rozumiesz?... mała siostrzyczka była czarodziejką i wiedziała wszystko, chociaż jej nic się nie powiedziało. I powędrowali daleko w obce kraje, gdzie znowu wybudowali sobie jeszcze piękniejszy zamek, aniżeli poprzedni, i żyli szczęśliwie aż do końca dni swoich.

— A nie było tam takiej starej czarownicy jak pani Markle, żeby im przeszkadzała?... Kiedyż myślisz wynieść się? zapytała praktyczna Olly.

— Chciałbym jutro, odrzekł Gabryel, zrzekając się poetycznego przedstawienia i z pewnym szacunkiem spoglądając na siostrę; to jest, sądziłem, Olly, tak zrobić, by przybyć do Casey i popołudniową pocztą dostać się do Marysville.

— Dobrze, rzekła Olly, a teraz pójdę spać.

— Olly, rzekł Gabryel z wyrzutem, widząc małą dziewczynkę znikającą za płóciennem przepierzeniem — nie powiedziałaś mi dobranoc!

Olly powróciła.

— Ty, stary Gabie, ty! rzekła rączkami poprawiając kędzierzawe jego włosy i nachylając się nad nim, ażeby z moralnej swej wysokości złożyć pocałunek na jego czole, ty stary, wielki Gabie, cobyś ty począł sobie bezemnie? Chciałabym widzieć!

Następnego dnia Gabryel nie mało był zdumiony, widząc jak Olly zaraz po śniadaniu zajęła się z wielką powagą wyborem pomiędzy dwiema czy trzema sukniami stanowiącemi całą jej garderobę. Potem ubrała się w białą muszlinową sukienkę, która w skutek długiego używania stała się żółtą, i z której dawno już wyrosła, szyję przewiązała niedrogą ale piękną różową wstążką, a na to włożyła szal w czarne i białe kraty, pozostały po matce, a którego wielkość, pomimo że był w kilkoro złożony, nie zgadzała się z jej wzrostem. Następnie złociste swe włosy okryła słomianym kapelusikiem z białemi i żółtemi piórkami, a w końcu uzupełniła swoją toaletę małym parasolikiem.

Gabryel, który z wielkiem zajęciem przypatrywał się tym przygotowaniom, odważył się w końcu, stojącą przed nim dziwaczną, ale śliczną małą figurkę zapytać:

— Dokądże to idziesz, Olly?

— Idę do miasta, pożegnać się z dziewczynką od Reeda. Nie właściwem byłoby nie pożegnać się ze znajomymi, jeżeli mamy wynosić się ztąd.

— Ale nie pójdziesz koło pani Markle? zapytał zakłopotany Gabryel.

Olly cierpko spojrzała na brata i odpowiedziała krótko:

— A toby mi się podobało!

W tej prędkiej odpowiedzi Olly zawierała się taka stanowczość, odbijająca się w głosie i rysach, że Gabryel nie odważył się mówić więcej. Ograniczył się na tem, iż począł rozglądać żółty parasolik i słomiany kapelusik ze wstążkami, aż dopóki jedno i drugie powoli nie znikło na zakręcie drogi po za górą.

A potem opanowało go tak dziwne uczucie zależności od dziecięcia i jakieś nieznane mu dotąd tak smutne myśli o własnej samowolności, że te nieznośnemi prawie wydały się mu. Nie odważał się ani wychodzić z domu, ani też w nim pozostawać, wreszcie pociągnęło go coś na pochyłość góry. Po drodze musiał przechodzić koło kilku samotnie stojących świerków, których olbrzymie rozmiary sprawiały, że inne drzewa wyda-

wały się obok nich jak karły. Były one tak jakoś dziwnie wielkie, tak nieprodukcyjne w stosunku do tego, co wnosząc z ich rozmiarów można było oczekiwać od nich, które niewłaściwe pomiędzy sosnami i jodłami stojącemi w pewnej odległości od nich, iż Gabryel poczytał je za symbol własnej swojej istoty i nie mógł nie zapytać sam siebie, czy też nie znajdzie się gdzie miejsce, w którem mógłby poruszać się jako w sferze właściwej sobie. „Gdybym poszedł tam, powiedział sam do siebie, to być może, iż znalazłbym się na właściwszem sobie miejscu aniżeli tu i dla dziecka byłbym przydatniejszym.“

Poszedł dalej brzegiem lasu i wkrótce stanął przy szychcie, do którego po przybyciu do One horse gulch naprzód nabył prawo. Było to smutne, nic nie obiecujące, rozległe, puste pole na górze, zasiane szaremi skał odłamami. Gabryel gorzko się uśmiechnął i rzekł: „Inny nie byłby takim osłem, by kupować za piękne pieniądze podobny udział. Być może, iż najlepiej się stanie, gdy go się teraz pozbędę.“ Potem odwrócił się i zszedł z góry ku innemu, później nabytemu udziałowi, który tyle tylko przynosił mu ile na życie potrzeba było.

Było już około trzeciej, gdy powrócił do znanego domku. Stanąwszy tam, znalazł Olly czekającą na niego z pewnem znużeniem, chociaż nie widać było w izbie żadnych śladów niedawno ukończonej roboty.

— Zdaje mi się, że nie wiele zajmowałaś się pakowaniem, Olly, rzekł Gabryel, chociaż prawdę powiedziawszy, nie wiele i jest do pakowania.

— Wcale nie ma potrzeby pakować, Gabie, odrzekła Olly, śmiało spoglądając w oczy bratu.

— Nie ma potrzeby? powtórzył.

— Wcale nie ma, odparła stanowczo. Nie wyniesiemy się ztąd, Gabie, ot i koniec. Byłam u adwokata Maxwella i uporządkowałam rzecz całą.

Gabryel w milczeniu usiadł i patrzał na siostrę szeroko otworzywszy usta.

— Wszystko uporządkowałam, Gabie, mówiła spokojnie dalej. Zobaczysz. Właśnie dziś rano wyszłam, rozmówiłam się z adwokatem i bez ogródki wypowiedziałam mu moje zdanie o pani Markle — tym sposobem wszystko przyszło do porządku.

— Boże wielki! cóżeś powiedziała?

— Com powiedziała? powtórzyła Olly — wszystkom mu opowiedziała co tylko wiem o tej kobiecie, a czego tobie, Gabie, nawet w połowie nie wyjawiłam. Opowiedziałam jak zawsze latała za tobą, odkąd pierwszy raz cię ujrzała, gdyś doglądał zmarłego jej męża. Jak ty na nią nie spojrzałeś nawet ani razu, aż dopóki ja ciebie do tego nie namówiłam! Jak ona często tu przychodziła i przesiadywała i ciebie przywabiała, i takie na ciebie oczy robiła — tu Olly poczęła przedrzeźniać namiętne spojrzenia pani Markle z niepospolitym talentem, co niezawodnie doprowadziłoby do wściekłości tę damę, a nawet skromnemu Gabryelowi w tej chwili krew napędzało do twarzy — i jak ona używała wszelkich możebnych pretekstów, aby cię do siebie przynęcić i jak ty zawsze najeżałeś się... jaką ona w ogóle jest starą, wstrętną czarownicą!...

Tu Olly zatrzymała się z braku oddechu.

— A on co na to powiedział? zapytał zaniepokojony Gabryel.

— Naprzód nic nie powiedział; potem uśmiechnął się i śmiał się, śmiał, tak, iż sądziłam, że pęknie. A potem, uważaj tylko! — ciągnęła sumienna Olly, potem powiedział, że musiał w tem zajść śmieszny jakiś błąd, albo byk, tak mianowicie nazwał on tę panię Markle, Gabie — niech mnie Bóg skarze w tej chwili, jeżeli nie są to własne jego słowa! A potem znowu począł śmiać się i nie wiem jak się to stało, Gabie, że i ja sama poczęłam śmiać się i *ona* także śmiała się... I na wspomnienie o tem znowu Olly śmiać się poczęła.

— Jaka *ona?* zapytał Gabryel z niewymownie boleśnym wyrazem w twarzy.

— O, Gabie! ty myślisz, że każdy jest jak pani Markle, odparła Olly żywo. Była to dama, która właśnie znajdowała się u pana Maxwella i wszystko słyszała. Powiadam ci, że zdawało się, iż rzecz ta tyle ją interesuje co i samego adwokata, dodała Olly z lekkim odcieniem dumy; być może podobał się jej mój sposób opowiadania. Byłam tak zła, Gabie, iż nic nie zostawiłam bez odpowiedzi.

— A cóż *on* powiedział? zapytał znowu Gabryel, więcej jeszcze zaniepokojony; ponieważ jemu, tak jak zwykle ludziom prostym a poważnym, niemającym usposobienia do żartów, owa wesołość ni z tego ni z owego wydała się podejrzaną.

— On chciał zaraz biegnąć po wyjaśnienia, jak to nazwał; ale dama powstrzymała go od tego i coś mu powiedziała po cichu, czego ja nie słyszałam. Musi to być jakaś szczególna jego przyjaciółka, gdyż zrobił wszystko co mu powiedziała. A powiedziała mu, że mam powrócić do ciebie i powiedzieć, że wcale nie potrzebujemy spieszyć się z jechaniem. Taki jest koniec historji, Gabie.

— Czy on więcej nic nie powiedział, Olly? zapytał znowu brat.

— Nic! Począł wypytywać się mnie o to i o owo z dawnych dziejów o naszym głodzie w kanonie; ale oświadczyłam mu żem o tem wszystkiem zapomniała, a i o tobie powiedziałam toż samo... Bo dość mi już tego, że przezywają mnie *Cannon-ball* i dla tego zapomniałam zaraz o wszystkiem jak tylko mnie zapytał. Nakoniec powiedział on damie: „Jak się zdaje, nie wie ona nic o całej sprawie!“ Ale już i dama starała się powstrzymywać jego zapytania i potajemnie dawała mi znaki, bym nie odpowiadała. O! to sprytna osoba, Gabie! zauważyłam to zaraz.

— Jak ona wyglądała, Olly? zapytał Gabryel z udaną obojętnością, chociaż wcale mu lżej nie zrobiło się.

— O! wyglądała nie tak jak pani Markle, lub inna kobieta podobnego gatunku. Jest to miła kobieta o białych zębach, szczupła i w pięknej sukni. Nic mnie do niej bardzo nie pociągało, chociaż była dla mnie wielce uprzejmą. Nie wiem czy potrafię dokładnie opowiedzieć jak wyglądała; nie znam tu u nas nikogo, ktoby tak wyglądał. Ale, Boże mój, Gabryelu! oto stoi ona tam!

Wejście do izby zaciemniło się cokolwiek. Gabryel spojrzał i poznał kobietę, którą niedawno od śmierci uratował; była to pani Devarges. (C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*„Lubonie“ powieść z X wieku J. I. Kraszewskiego. 2 tomy. Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.*)

(*Ciąg dalszy.*)

Treść powieści „Lubonie“ jest następująca: Familia Luboniów przed kilkunastu laty poniosła ciężką i bolesną stratę. Gdy stary Luboń wybierał się był na wyprawę przeciw Niemcom, młodziutki, bo zaledwie kilkanaście lat liczący syn jego Włast, naparł się koniecznie, aby go ojciec wziął ze sobą na rycerski taniec. Ojciec nie odmówił synowi. Młody chłopak walczył przy boku ojca, ale niestety prawie w oczach wylewającego łzy wściekłości rodzica dostał się w niemiecką niewolę. Od tego czasu wieść o nim zaginęła: wszyscy byli pewni, że umarł na obczyźnie. Wtem nagle w starym rzezanemi słupy podpartym dworcu Lubonia zjawia się młody człowiek, bez broni, szczupły, trwożliwej postaci. Stara babka poznała, że to Włast. Zapanowała nieopisana radość w Luboniowym dworcu, ale w krótce zamieniła się ona w smutek. Ojciec spodziewał się, że syn jego wyrośnie na dzielnego wojaka, a oto zobaczył przed sobą człowieka bez żadnych rycerskich usposobień, a co najbardziej, przejętego na wskróś niemieckiemi obyczajami. Ojciec i stara babka Dobrogniewa zapłakali, widząc co z ich dziecięcia Niemcy zrobili. Napróżno ojciec starał się wykorzenić z syna nabyte w obczyźnie przywyknienia, napróżno kazał mu dosiadać chyżego rumaka i ciskać oszczepem i wywijać lśniącym mieczykiem, młodzian był nad wiek poważny, rzemiosło rycerskie nie zajmowało go wcale. Czytelnicy domyślą się, że Włast Luboniów był chrześcijaninem. Dostawszy się do niewoli, przechodził jako rzecz z rąk jednego niemieckiego pana do drugich, aż wreszcie nieszczęśny los umieścił go w poczcie pewnego biskupa. Tam się ochrzcił, a co więcej został kapłanem. Dobrzeby mu było, gdyby został był w którym Monasterze, czy to w Niemczech lub we Włoszech, które także zwidził, ale tęsknota za krajem, a co więcej apostolski zapał, ażeby rodaków swych nawrócić na prawą religię, kazał mu powrócić z kamiennych grodów, zdobnych dziełami sztuki, do swej ubogiej wśród pierwotnych lasów ukrytej ojczyzny.

Stary Luboń był wybitnym przedstawicielem człowieka kochającego wszystko co swoje, zacząwszy od słomianej strzechy, a skończywszy na starodawnych praktykach religijnych. Teraz nazwalibyśmy go konserwatystą w najobszerniejszem tego słowa znaczeniu. Włast znał usposobienie swego ojca i wiedział bardzo dobrze, coby go czekało, gdyby się przyznał do zmiany religji. Udawał więc o ile to się jego sumieniu nie sprzeciwiało, że tak jak i ojciec jest Polanem starych przekonań — a tymczasem zaczął badać, czy nie spotka gdzie ukrywających się tak jak i on chrześcijan.

Powiedzieliśmy powyżej, że już wielka stosunkowo liczba Polan było nawróconą. Włastowi też nie trudno było odszukać swych współwyznawców, z którymi począł tajemnie pracować nad dokonaniem swego wielkiego dzieła nawrócenia Polski. Wkrótce po jego przybyciu, Hrenko dowiedziawszy się, że syn zasłużonego Lubonia powrócił, zawezwał go do siebie, a ponieważ chętnie lubiał słuchać opowiadań o potędze zagranicznych książąt, zatrzymał go u siebie.

Starzy poganie przeczuwali, że niezadługo

*

przyjdzie chwila, w której ich święte izby i kontyny runą tak jak w Czechach niedawno temu; spozierali więc podejrzliwie na Mieszka i na tajemniczych ludzi, którzy go otaczali, czuli niejako przez skórę, że byli to chrześcijanie, ale Mieszko był zarówno wielkim politykiem jak wodzem. Wiedział on dokładnie, że gdyby gwałtownie zmienił religię, co leżało w interesie państwowej Polski, musiałby wywołać silną reakcję, w obec której kto wie, czyby się na tronie ostał!

Udawał więc, że jest jak najmocniej przywiązany do rodzinnej owej religji, co mu tem łatwiej przychodziło, ponieważ rzeczywiście nawykł do niej, jak człowiek nawyka do wszystkiego, do czego się od młodości przyzwyczaił. Nie znał przytem dokładnie religji chrześcijańskiej, o której chodziły wieści, że wymaga od człowieka nadludzkich poświęceń, umartwień ciągłych, zaparcia się siebie.

Mieszko był człowiekiem zmysłowym, przerażały go posty, trapiła myśl, że trzebaby poprzestać na jednożeństwie, co w jego oczach znaczyło tyle, co celibat. U niego zmiana religji była niczem innem jak tylko aktem czysto politycznej natury, zapewniającem mu władzę, poszanowanie sąsiadów a krajowi rozkwit we wszystkich kierunkach.

Postępował więc z nadzwyczajną oglednością, nawet wobec otaczających go chrześcijan, okazywał, że nie wie kim są oni, a tymczasem potajemnie przygotowywał wojsko i oglądał się za sprzymierzeńcami za granicą. Chcąc zapewnić sobie pomoc potężnego sąsiada i zmienić go z nieprzyjaciela w druha, postanowił poślubić czeską kneziównę Dobrówkę. W tym celu wybrał się potajemnie w kilkanaście koni do Pragi. Włast mu towarzyszył. W Pradze przyjął go Bolko z otwartemi rękoma i wkrótce ułożyli się o małżeństwo. Ciekawem i charakteryzującem nadzwyczaj owe czasy było pierwsze spotkanie Mieszka z Dobrówką, które p. Kraszewski w ten sposób opisuje: Gdy już hufiec Polaków zbliżał się ku Pradze, niedaleko miasta rozłożyli się taborem, ażeby oczyścić siebie i konie i móc ochędożnie w przemysławowej stolicy wystąpić. Miejsce spoczynku obrali na małej polance, nad stawem. Zaledwie puścili konie na paszę, aliści patrzą, a tu po stawie płynie ku nim łódź pełna biało ubranych dziewcząt. Skoro przybiły do brzegu, wysiadły i rozpoczęły pląsy po murawie, śpiewały na różne nuty, klaskały w dłonie, brały się za ręce i zawodziły korowód. Pośród nich stała dojrzała już dziewica, piękna, z wyrazem dumy na obliczu i nie brała udziału żywego w zabawie, zachęcała tylko uśmiechem i klaskaniem dłoni owe drużki.

Była to Dobrówka. Kilku polskich rycerzy między nimi Mieszko zbliżyli się do pląsających dziewcząt. Między tanecznicami powstał popłoch, wszystkie zaczęły uciekać do łodzi, jedna tylko Dobrówka stała spokojnie, mierząc dumnym wzrokiem zmierzającego ku niej Mieszka. Mieszko przypadł i nie wiele myśląc pocałował ją w usta i jakby wynagrodzenie za to zdjął prędko z palca kosztowny pierścień i włożył go na palec zarumienionej i zdziwionej tem zuchwalstwem dziewicy; poczem zniknął w zaroślach, zebrał swój hufiec i podążył do Pragi.

(Dok. nast.)

Pogadanki.

VIII.

Ubiegłej niedzieli ślicznie słońce świeciło, pogoda była jak w Maju — a Lwów cały w poruszeniu. Wszelako tłumy płynące licznemi strumieniami ku ulicy Ossolińskich, nie spieszyły na przechadzkę za mury miasta — one szły oddać ostatnią usługę jednemu z najdzielniejszych mężów i uczonych, który przez pół wieku pracował dla Polski, rozświecając ciemną drogę jej męczeńskiej pielgrzymki.

W dniu tym odprowadziliśmy zwłoki śp. Augusta Bielowskiego na miejsce wiecznego spoczynku.

Nie będę się rozwodził nad zasługami zmarłego, bo zna je Polska cała; nie będę nieudolnym tłumaczem żalu ogólnego, bo był nim i bardzo wymownym nad trumną nieboszczyka p. Józef Szujski, którego przemówienie znajdziecie na innem miejscu; nie będę również pisał życiorysu śp. Agusta Bielowskiego, bo życiorys wyjdzie wkrótce z pod pióra p. Antoniego Małeckiego — na tem miejscu niech mi będzie wolno spojrzeć na naszą stratę ze stanowiska innego, z którego dotąd nikt o niej nie mówił.

Giną nasi wielcy uczeni — gasną nasze gwiazdy! Libelt, Kremer, Goszczyński, Fredro, Bielowski, rozstali się z nami prawie w ciągu jednego roku. Chociaż śmierć wszystkich nas czeka, chociaż oddawna przestała nas przerażać, zwłaszcza gdy zabiera ludzi we wieku podeszłym, mimo to jak bolesną stratę ponosi naród wtedy, gdy wielcy jego uczeni zchodzą ze świata, że się tak wyrażę, bezpotomni, gdy między zostającymi nie widać takich, którzyby ciężar spuścizny zmarłych umieli udźwignąć i godnie dalej ponieść. W tym smutnym wypadku my się teraz znajdujemy. Gdzie spadkobiercy owych pięciu nazwisk, które powyżej przytoczyłem? Być może, że już są między nami, być może, że się kiedyś ukażą — ale dziś, dziś ich jeszcze nie widać...

Odkąd w Polsce za przykładem narodów cywilizowanych zaczęto także myśleć o oświeceniu wszystkich warstw i stanów, odkąd przy pomocy prasy perjodycznej zaczęto nieść światło w najdalsze zaułki, odkąd wszyscy, których los skazał na rozlewanie tego światła, rzucili się do popularyzowania nauki, aby ją dla wszystkich uczynić przystępną, odtąd zniżył się poziom poszczególnych talentów pracujących na polu naukowem. Ogół zyskuje na tem — ale traci nauka.

Objaw ten widoczny tak dobrze u nas, jak i w innych krajach Europy cywilizowanej. Ilu wielkich uczonych wydała Europa u schyłku ubiegłego stulecia i na początku bieżącego, a ilu pojawiło się ich później, odkąd zaczęto myśleć o wykształceniu warstw najniższych? Zestawiony rachunek wypadłby bardzo niekorzystnie, a jeżeli na Zachodzie nie brak jeszcze wybitnych uczonych, pochodzi to ztąd, że wśród tej masy inteligencji, jaka tam się znajduje, musi od czasu do czasu strzelić talent potężniejszy, który wznosi się nad inne i dzierży ster nauki. U nas inteligencji nie wiele, to też i talentów wybitnych mniej z dniem każdym; natomiast wzmaga się szereg pracowników pożytecznych. Jenerałowie ustępują z widowni — pozostają szeregowi. Ale że żadnej wojny nie można wygrać bez zdobnych jenerałów, więc aby nie stracić kampanji z narodami cywilizacyjnemi, starajmy się wszelkiemi siłami o wyrabianie wielkich talentów. W pięknej tej pracy powinna wziąć inicjatywę Akademja umiętności, będąca dziś w Polsce najpierwszą instytucją naukową.

* * *

Ależ to było gorąco w sali ratuszowej! Co dni kilka odbywały się walne zgromadzenia wyborców naszej stolicy i każdym razem sala była przepełnioną. Takiego zainteresowania się sprawami publicznemi nie pamiętamy od bardzo dawna. Kto sam nie kandydował, a uczęszczał na zgromadzenia, ten mógł się doskonale zabawić. Bo i proszę, czy może być co zabawniejszego, jak naprzykład takie zachowanie się synów naszego grodu. P. Rewakowicz mówi przeciw p. Dobrzańskiemu — wyborcy biją brawo; p. Dobrzański mówi przeciw p. Rewakowiczowi — wyborcy biją brawo; pp. Rewakowicz i Dobrzański mówią przeciw ks. Stojałowskiemu, wyborcy biją brawo; nakoniec ks. Stojałowski mówi przeciw obu swoim antagonistom, wyborcy znowu biją brawo! Zapytuję teraz, jaka jest właściwie opinja wyborcow stolicy kraju? Nie koniec na tem. Nie którzy kandydaci bawili się w ogólniki tak ogólne, że ich przemówienia nawet nie zasługiwały na poważną polemikę, a mimo to zchodzili z trybuny wśród grzmotu oklasków; znaleźli się wreszcie i tacy, którzy z góry oświadczyli, że nic nie powiedzą, bo nie myślą kandydować, a poczciwa publika wciąż biła brawo sama nie wiedząc dla czego! Patrząc na taką „opinję“ przypomniałem sobie powiedzenie pewnego dowcipnisia, który na zapytanie, co to jest opinja publiczna, rzekł:

— Opinja publiczna, moi panowie, jest to stado baranów, w którem gdy jeden baran zacznie beczeć, natychmiast wszystkie mu wtorują.

Przepraszam za porównanie, które nie jest dość estetyczne, lecz powtarzam, nie jam jego autorem.

Widząc jak wygląda nasza opinja, przyznaję zupełną słuszność jednemu z mowców, który powiedział, że u nas nie ma stronnictw, tylko koterje, rozporządzające bardzo małemi siłami. Gdyby były stronnictwa, zgromadzeni w sali ratuszowej dzieliliby się na obozy odrębne, i oklaski partji jednej, byłyby niezwłocznie przygłuszane przez sykania partji przeciwnej. Tymczasem u nas rzadko kto syknie, często zaś zaczyna sykaniem by skończyć oklaskami. A może klaskanie jest zaraźliwem jak ziewanie? Nie zaszkodziłoby, gdyby panowie lekarze zastanowili się nad tym symptomem.

W sali ratuszowej zrobiłem jeszcze jedno spostrzeżenie. Oto panowie kandydaci, z bardzo małemi wyjątkami, chociaż należeli do partyj rozmaitych, nie uznali za potrzebne polemizować z sobą, jak to zwykło dziać się wszędzie za granicą: oni recytowali swoje credo zostawiając właściwą polemikę osobistościom, które nie myślały wcale ubiegać się o krzesła poselskie. Najwięcej też rzeczy oryginalnych, czasem nawet bardzo trafnych, usłyszeliśmy z ust tych niekandydatów, i dla tego bardzo się dziwimy, czemu właśnie im nie ofiarowano mandatu. Miałożby to znaczyć, że według przekonania wyborców miasta Lwowa, najlepszymi posłami będą figuranci?

* * *

Nazwisko Siemiradzkiego rozbrzmiewa coraz głośniej po Europie, i dziś znają już naszego artystę w Rzymie i Monachjum, a wkrótce

będą mówić o „Świecznikach Nerona“ także w Paryżu i Londynie, bo do obu tych stolic artysta wysyła swoje dzieło wiekopomne. Wielki talent ma to do siebie, że wiadomość o nim szybko się rozchodzi, i każe się szanować nawet tym, którzy chcieliby dlań być obojętni. Wiedeński *Tagblatt* umieścił niedawno fejleton poświęcony „Świecznikom Nerona,“ którego autor stawia wyżej Siemiradzkiego jak Kaulbacha. Gdybyśmy tego nie byli czytali własnemi oczyma, nie bylibyśmy dali wiary, że coś podobnego mogło się znaleźć w dzienniku niemieckim. Powiedzieć o artyście zagranicznym, i do tego polskim, że przewyższa Kaulbacha, na którego Niemcy patrzą ciągle jak na ósmy cud świata — znaczy to oddać nam taką sprawiedliwość, do jakiej Germanja nie była jeszcze zdolną. Nie wątpimy, że powoli i jej spadną łuski z oczu, a wtedy będzie musiała przyznać, że ci Polacy nie są narodem codziennym, i w cywilizacyjnej walce ze światem germańskim potrafią kroku dotrzymać.

Gdy półtora roku temu pisaliśmy o talencie Matejki, pierwsi w Polsce ośmieliliśmy się wytknąć błędy mistrzowi krakowskiemu, i bez wahania wynurzyliśmy przekonanie, że Matejko nie jest ostatnim wyrazem sztuki polskiej. Czy tym wyrazem będzie Siemiradzki?

Poczekajmy lat kilka.

Józef Rogosz.

O potrzebie rozwoju przemysłu małego
czyli drobnego w Galicji

napisał

JAN NEP. Z OLEKSOWA GNIEWOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Komu nieobojętną jest przyszłość narodu, zgodzi się chętnie na to, aby radzić i zapobiegać złemu, uzdrawiać co sie da; a da się niewątpliwie, byle była szczera wola i szła z poczuciem pełnienia obowiązków względem kraju. Nie zakreślajmy od razu wielkich planów; fantazja niech nas nie porywa do kroci, miljonów, bo te zastraszą nawet chętnych, a licznej falandze przeciwników podadzą zwykłą broń w rękę, aby wołali: „A co nie mówiłem? nie uda się! — głupstwo, mrzonki, ideologia!“ Nie, nam nie potrzeba zaraz kroci, miljonów, lecz bodaj kilkudziesięciu ludzi, w których sercu płynie gorąca krew polska — którzy nad wszystko ukochali tę ziemię Ojców naszych.

Kilkudziesięciu takich: Włodzimierzów Dieduszyckich, Baranieckich, Anny i Stanisława Potockich, Ignacego i Honoraty Łukasiewiczów, Machalskich, Kamińskich, Darowskich, Bałutowskich, niech się połączą w jeden łańcuch ogniwa pracy, a za lat kilka wnętrza chat naszych wiejskich i miasteczek przyswoją sobie inne życie, inny charakter, i wnijdą na tor obywatelskiej godności — człowieczeństwa.

Nie podobieństwem żądać, aby po całym kraju, jak grzyby po deszczu, wyrosły fabryki różnorodne i zastosowane do danych w każdej miejscowości. Ale natomiast niech się rozwija przemysł domowy, który będzie ogródkami froeblowskiemi dla naszego ludu, który tak przygotowany umożebni trwały byt przemysłu wielkiego, fabrycznego.

Nie wierzmy, aby w całym kraju nie znalazło się kilkudziesięciu ludzi, którzyby myśli tych w czyn nie zamienili; nie wierzmy aby taka praca organiczna nie miała ich zadowolić i sprawić błogiego uczucia; — uwierzmy raczej, że szczere chęci były i są, było i jest poczucie obywatelskie, a jeżeli dotąd myśl nie przyoblekła się w szatę czynu, składam winę na dotychczasowe wychowanie, które wszystkiego uczyło, z wyjątkiem tego, co nam było potrzebnem. Szczere chęci niknęły, jak krople rosy ożywczej, gdy je słońce wypali. Niewiedziano po prostu, jak się wziąć do rzeczy; nie nauczono się danych spostrzegać pod ręką, a szukano materjałów po za krajem, których przyswojenie nastręczało nieprzebyte trudności jedynie dla tego, że krajoznawstwo spoczywa u nas w kolebce.

Lepiej nam znane Alpy, Pireneje, a wreszcie i inne miejsca kuli ziemskiej, aniżeli Tatry, Beskidy, Karpaty, i w ogóle ten nie wielki szmat kraju zwany Galicją. Uważajmy to za chorobę chroniczną, której wszakże nie wolno liczyć do niewyleczalnych. Najświeższe krachy i ich następstwa może przecież wprowadzą nie jednego na drogę rekonwalescencji, poczem myśl zakwitnie zupełnem zdrowiem.

Nakoniec odezwijmy się do najlepszych rolników, nie szczędzących pracy w pocie czoła, zasobnych nauką i doświadczeniem; niechaj odpowiedzą z ręką na sercu, czy ich najszczersze usiłowania wzbogacenia kraju plonami rolnictwa odnoszą pożądany skutek, czy w danym razie nie przewidzianych klęsk, chociażby tylko elementarnych, zdołają utrzymać byt ogółu w warunkach, które nie dopuszczą dalszego upadku materjalnego i moralnego? Rok ubiegły niechaj będzie ostatniem smutnem doświadczeniem. Otóż sumienni rolnicy nie dadzą nam tej poręki, a jeżeli kiedykolwiek byli przeciwnego zdania, przyznają, że jedynie rozwój przemysłu małego, domowego, może nas zasłonić od biedy, i zagonów odziedziczonych po Ojcach nie dozwoli wyrwać z pod stóp naszych.

Powierzchnia kraju naszego przedstawia się oku w trzech odrębnych obrazach, a tak do siebie niepodobnych, jakby każdy z nich był wykrojony z osobnej całości, i później z inną złączony.

Każdy z tych obrazów stanowi odrębną całość, różniącą się nietylko co do powierzchni przyrodniczej, ale i co do charakteru oraz zwyczajów i nawyknień ludu. Każdy z tych szmatów ziemi ma także odrębne zasoby produktów, które chociaż w wielu wypadkach są wspólne całemu krajowi, jednakowoż główną ich siedzibą są bądź góry bądź równiny, lub wreszcie, że tak powiem, bezleśne stepy podolskie.

Chcąc wynaleźć dane do rozwoju przemysłu domowego, winniśmy przedewszystkiem z powyższych powodów podzielić kraj na trzy odrębne grupy; a dopiero wtenczas, gdy się po nich rozpatrzymy, znajdziemy wskazówki, gdzie i jakie należy rozniecać ogniska przemysłu małego. Trzymając się tego podziału, zwróćmy kroki najbliższą drogą ku wspaniałym naszym górom — Karpatom. Aby pewien ich obszar objąć okiem, wstąpmy, idąc doliną Prutu od Kołomyi i Delatyna, na szczyt Czarnej góry. Serce zaczyna bić raźniej, pierś się rozszerza i pije boski nektar krynicznej czystości eteru, nie znanego dzieciom równin; a cóż dopiero mieszkańcom zamkniętym w murach miast i miasteczek!

Zdumionem okiem obejmujemy olbrzymie krajobrazy, których ogromu nie pojmowaliśmy nawet myślą. Ramy obrazu objęte horyzontem, a nie dziw, — że jego wspaniałość skupiając ducha do niepojętego dotąd nastroju, zgina nasze kolana, aby oddać cześć największemu mistrzowi światów, który stworzył to arcydzieło, — a imię jego Bóg.

Upływa chwila za chwilą, godzina za godziną; zdumienie nasze nie ma końca i wzrok nasz nienasycony, bo czyż może być inaczej, gdy po falistych grzbietach gór, okrytych złomami chaotycznych skał, ubarwionych jak najpyszniejszą kobiercową tkaniną, różnobarwnemi porostami i mchami, obok których, jak rozsypane drogie kamienie, rozsiana w rozkwicie roślinność, którą zaledwie czasami spotykamy w cieplarniach, ciągną się głębiej odwieczne knieje, to płonące na wyżynach odblaskiem promieni słonecznych, to znów kryjące się po wąwozach i jarach w tajemniczym półcieniu; — a w głębiach jarów, jak srebrzysto-błękitne rozwinięte wstęgi, szumią strumienie, potoki i rzeki.

Po nad głowami naszemi szybuje ziemski król tych gór, orzeł. Dalej jak najpiękniejsze cacka, które dziecina w snach swych wymarzyła, rozrzucone wioski i miasta, które z początku przybierają urocze, chociaż zamglone barwy, aby później ginąć w ramach horyzontu.

Gdy wzrok i myśl sięga głębiej w ten przestwór, nagle słyszymy grom, który się wydobył z tajników kniei, a echo głos jego powtarza z jaru w jar, z góry na górę i od najsilniejszych tonów przechodzi do coraz melodyjniejszych, jak po klawiaturze, dopokąd nie skona na krańcach ciszy powietrznej.

Z kądże powstał ten grom? Oto rozległ się z broni gór mieszkańca, dzielnego huculа, który zagłębiwszy się w kryjówki jemu tylko znane, wieczystych uroczysk i mateczników kniejowych, wypalił do najbliższego wroga swego, kudłatego niedźwiedzia. Niechybny strzał dosięgnął celu; śmiertelny ryk wydał zwierz dziki, ufny dotąd w swą przeważną fizyczną siłę. Czerwony strumień krwi trysnął jak z fontanny; rozjuszony zwierz się chwieje — lecz przeczuwając bliski skon, chce zginąć jak bohater i oddać wet za wet swemu pogromcy. Próżne jednak te śmiertelne pokusy, bo huculowi w takich wypadkach nie znana trwoga; jemu nie nowina spojrzeć w oczy grożącemu niebezpieczeństwu a nawet śmierci; z całym też zasobem krwi zimnej mierzy spokojnem okiem w strasznego w tej chwili zwierza, który konwulsyjnie roztworzył łapy, aby w nich zgnieść w śmiertelnym uścisku swojego wroga, a potem skonać. Lecz ten człowiek ujął w żylastą i silną dłoń oszczep, i jak dzielny żołnierz w czworoboku bojowym, nadstawił go zaślepionemu napastnikowi, w którego piersiach się zanurza; — runął i wydając ostatni ryk — skończył żywot na ziemi. Hucuł, jak gladjator rzymski, przycisnął nogą poległego wroga mierząc go najprzód z pogardą, a potem zarzucił w tył kędziory i jak tryumfator pociągnął wzrokiem po świadkach czynu, niebotycznych jodłach i bukach. Bo dla niego wiekowe drzewo nie jest martwem ciałem, ale istotą żywą, której zna język i ducha.

Taki to szczep wzrósł i przetrwał wieki we wschodniej części naszych Karpat, nie straciwszy do niedawnych czasów prawie nic ze swego odrębnego charakteru i obyczajów; miłość do tych gór posunięta u niego do ideału, a nawet gdy rak zepsucia go dosięgnie, gdy szatańskie szpony wciągną go w kałużę nędzy i błota, gdy już wszystko prawie z człowieczeństwa swego utracił, pozostał na dnie duszy jego jeszcze jeden skarb, jedna cnota, oto: miłość tego szmatu ziemi, który całą siłą ducha i myśli ukochał.

Naturalne granice gór, to cały świat hucuła; po za niemi wszystko mu obojętne. Gdy zejdzie na równiny, czuje się nie w swoim żywiole, oko się zasępia i z tęsknotą zwraca wzrok ku górom, jak ku wybranej kochance. Obsypmy go dostatkiem i skarbami, lecz z warunkiem, aby dostatków tych używał na równinach i tam zamieszkał — pożądliwem okiem poglądać będzie na te dary, ale westchnąwszy głęboko odpowie: „Dziękuję, co mi potem wszystkiem, kiedy tu nie ma moich gór, moich połonin, mojej krynicy, moich potoków.“

Równina dla niego, to jak dla lwa klatka menażerji. Poddając się prawu konieczności, zostaje żołnierzem — lecz przejrzyjmy spisy zmarłych w szpitalach wojskowych a przekonamy się, że większa część umiera na chorobę, na którą sztuka lekarska nie wynalazła środka — umiera z tęsknoty za rodzinnemi górami.

Niestety, gangrena domoralizacji sięga już dzisiaj do tych gór wierzchołków, a jednak hucuł pomimo tendencyjnego zepsucia, jakie w nim kasta arendarzy rozmyślnie zaszczepia, pozostanie jeszcze na długo rycerzem pełnym poezji. Jeszcze z niego duch czasu nie zdołał zetrzeć tradycyjnego romantyzmu i poczucia godności własnej. Poznanie piękna nie jest mu obce; żelazna wytrwałość i trzeźwa odwaga otaczają go dziś jeszcze pewną aureolą. Spojrzyjmy na prawego hucuła, — jak się sam nazywa — którego duszy jeszcze jad zepsucia nie znurtował, a powierzchowność jego przedstawia się tak malowniczo, że żaden inny góral mu nie sprosta.

Gdyby mi przyszło na okaz wybierać ludzi z całego obszaru ziemi polskiej, aby ich przedstawić na jakiej wystawie świata, tobym jedynie wybrał Krakowiaka, Hucuła i Kujawiaka. Pojęcie przemysłowe wrodzone każdemu hucułowi, rozwinięte jest do tego stopnia, że choćbyś go wziął nawet w stanie natury, dał mu siekierę, świder, dłuto, nóż i przeniósł go potem do nieprzejrzanej i dzikiej lesistej puszczy, a za rok znalazł byś hucuła okrytego i w chacie, zaopatrzonej we wszelkie potrzeby codziennego życia, do jakich nawykł. Wszystko to stworzyły by jego własne ręce.

Nieboszczyk Robinson Krusoe stawiany jako prototyp osobistej przemysłowości człowieka, musiałby długo praktykować u hucuła, zanimby mu dorównał w doskonałości pomysłów i w ich wykonaniu. A jednakowoż dotychczas zaledwie kilka serc uderzyło bratniem tętnem, aby te wrodzone zdolności podnieść i zużytkować dla dobra kraju. Co jednak może stworzyć silna wola i tradycyjna spuścizna poczucia obywatelskiego ojców naszych, tego mamy żywe świadectwa. Szczytne i rozległe zadanie, jakie przedsięwzięli twórcy Muzeum przemysłowego oraz przyrodniczego w Krakowie i we Lwowie, aby rozbudzić zamiłowanie do krajoznawstwa, powinno znaleść od ogółu ruchliwsze poparcie, aby prędzej całość zaokrąglić i otworzyć oczy nawet najzatwardzialszym pessymistom, że w przemyśle domowym i w przyrodzie posiadamy granitowe podwaliny siły umoralnienia i dobrobytu przyszłości.

Chcąc wytworzyć oświatę, nie pomijajmy praw natury; zaczynajmy od fundamentów a nie od dachu; inaczej postępując będą to jedynie pajęcze sieci, na które złapiemy muchę i komara, ale lada silniejszy podmuch wichru rozwieje i zniszczy bez śladu pajęczą pracę. Ogólniki jednak nie dadzą jeszcze pojęcia o tych zdolnościach przemysłowych, szczególniej hucułów, a w ogóle górali na całym łańcuchu Karpat; fakta które teraz przytoczę lepiej nas objaśnią. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Wiadomości archeologiczne. Spostrzeżenia w dziedzinię starożytności krajowych. Czasy przedhistoryczne. III. Warszawa — 1876.

Badania nad archeologją przedhistoryczną postępują i u nas raźnie naprzód. Owocem tych badań jest powyższy tom. Zawiera on: wycieczki archeologiczne nad Tyśmienicą i Wieprz przez Józefa Przyborowskiego; grot z runicznym napisem przez Aleksandra Szumowskiego; Brzegi Buga; Groby pogańskie w Kostomlotach przez Józefa Łoskiego: Żale Żurawieckie przez Natalję Kicką; Opis mogiły pod Łęgonicami przez K. Jagmina; Grób przedhistoryczny w Drzewcach w Lubelskiem S. Łaniewskiego; O niektórych zabytkach kamiennego wieku na Wołyniu przez G. Ostowskiego: Osady z czasów użytku krzemienia pod Kobylinem, Sieniawą, Szczakową etc. przez Zygmunta Glogera i dalsze nareszcie poszukiwania w jaskini Mamutu w czerwcu 1874 przez Jana Zawiszę.

— Dr. Haubner. Weterynarja gospodarska. Choroby wewnętrzne i zewnętrzne zwierząt domowych. Podług siódmego niemieckiego wydania przełożył dr. M. Laurysiewicz. Warszawa — 1876.

Dzieło to, owoc kilkudziesięcioletniej pracy, napisane jest dla hodowców, stojących na wyższym stopniu naukowego wykształcenia.

— Komedje Aleksandra hr. Fredry. Warszawa — 1876.

Trzy odczyty publiczne Stanisława hr. Tarnowskiego miane w wielkiej sali ratuszowej w Warszawie na wiosnę br. wyszły obecnie w nader starannem wydaniu nakładem redakcji Bibljoteki Warszawskiej.

— Żywot Tadeusza Kościuszki. Napisał według źródeł istniejących Teodor Żychliński. Poznań — 1876.

— Zły interes. Powieść ze studjów wiedeńskich przez Jana Zacharjasiewicza. — Warszawa — 1876.

— „Na przełomie.“ Z życia dwojga ludzi szkic. Warszawa — 1876.

— Pisma Zofji Kaplińskiej. Wydanie pośmiertne. Warszawa — 1876.

— „Przed burzą.“ Sceny z r. 1830 przez B. Bolesławitę. Poznań. Żupański. — 1876.

— Nauki passyjne napisał O. Kazimierz, kapucyn w Winnicy. Warszawa, r. 1876.

— Islam w dziewiętnastem stuleciu. Studjum z historji cywilizacji przez Hermana Vambery'ego, przekład Władysława Bogusławskiego. Warszawa — r. 1876.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Mowa p. Józefa Szujskiego na pogrzebie śp. Augusta Bielowskiego.

Imieniem Akademji umiejętności w Krakowie, imieniem wydziału historycznego, do którego należał, imieniem komisji historycznej, której najważniejsza część pod jego zostawała przewodnictwem, mam pożegnać trumnę członka pierwszej polskiej akademji, trumnę sędziwego wodza z pod jednej chorągwi naukowej i — narodowej! Nie byłbym wiernym tych uczuć tłumaczem, gdybym nie powiedział na wstępie, że wiadomość o śmierci A. B. spadła na nas jak grom z jasnego nieba, a przenikając boleścią serca wszystkich, odbiła się o te pełne wspomnień gmachy i wieże królewskiego zamku, katedry królewskiej, której najdawniejsze pomniki piśmienne pierwszy dał poznać światu nieboszczyk. I zapominając w pierwszej chwili boleści, że Monumenta historyczne Polski straciły nieporównanego w skrzętności wydawcę, że prace nasze około dziejów straciły jedną dłoń olbrzymią, która dźwigała wiele bo sercem dźwigała, bo dźwigała miłością: czuliśmy tylko, że jednym czystym, szlachetnym, potężnym duchem więcej pomnożył się zastęp tych, których nam zawsze brak będzie, tych, których pamięć związana u nas z górą Wawelową i dzwonem Zygmunta, bo tam spoczęło pod skrzydłami świętego, spoczęło poświęcenie Jadwigi, wytrwałość Łokietka, Kazimierza Wgo mądrość i Sobieskiego dzielność i niepokalaność i prostota Kościuszki.

Nie dla ustrojenia słów moich chciałem aby te imiona zabrzmiały nad trumną zmarłego. Żegnamy jednego z tych, który połączył wszystkie te cnoty i dary przekazane głosem Boga i pełnych boleści dziejów naszych głosem, połączył poświęcenie i wytrwałość, dary umysłu i charakteru dzielność, niepokalaność i prostotę sługi narodu. Połączył na polu działania szczuplejszem, jako żołnierz, poeta, dziejopis, zacny obywatel i głowa rodziny — ale połączył tak że obok dzieł dokonanych za życia, pozostanie po nim najtrudniejsze i najrzadsze między ludźmi — dzieło jego żywota.

Nie chwila po temu i nie moja rzech w tej chwili wypominać nad trumną zmarłego, tem mniej oceniać jego prace naukowe. Ale to dzieło najdoskonalsze, ta całość wielka, której oddajemy hołd ostatni znany, Bielowski jako człowiek, niechaj uczonym zostanie w świetle tej prawdy, którą ukochane przezeń dzieje narodu rzucają pokoleniu naszemu. Niech będzie stwierdzonem, że bez świętego ognia poświęcenia, bez stalowej dźwigni wytrwałości, bez harmonji między charakterem moralnym i intelektualnemi siłami, nie ma skutecznej służby na polu słowa i pisma, jak jej nie ma na polu czynu, że nauka i zawód pisarski wtedy tylko nie jest rzemiosłem i karjerą, ale apostolstwem jest i kapłaństwem jak u ś. p. Augusta, jeżeli je niosą skrzydła ideału, skrzydła miłości ku czemuś, co po za nami, których też Bóg nie poskąpił nikomu a których ludzie tak często skąpią sobie i światu. Poecie za dni młodych, aby śpiewał walki Igora i lignicką klęskę, nie osłabły te skrzydła u Bielowskiego, gdy się pogrążył w zbutwiałych manuskryptach, aby obcować z hartowną Bolesławów postacią, aby widzieć twarz w twarz zastęp założycieli Polski z Atletą Chrystusa na czele, a nie mniemajmy, aby pożegnał się z poezją, gdy się tej twardej pracy poświęcił, bo nie ma u ludzi jego miary, rozdziału, piękna i prawdy, a każdy zapisek analistyczny w epoce najściślejszego badania, zachował dla duszy jego tę woń przeszłości, ten urok wspomnienia, to żywe słowo zmarłych, które się nietylko ceni jako świadka, ale kocha jako przyjaciela!

Nie czemu innemu też tylko tej miłości narodu, tej nieustającej pobudce do działania w zakresie tak ważnym dla niego, jak poznanie krytyczne przeszłych jego losów, przypisać należy tę czerstwość ducha, tę rzeźkość rycerską pomimo podeszłego wieku, którą zachował do chwili, gdy niespodziewany grom śmierci tę piękną, szlachetną, wyniosłą postać powalił, tę wytrwałą pracowitość, której zawdzięczamy cały szereg dzieł i rozpraw historycznych pierwszej wagi, wydawnictwo pism żółkiewskiego, II. tomy Monumentów, wzorową redakcję XII. tomów Biblioteki Zakładu Ossolińskich, a w znacznej części rozwój tego narodowego zakładu.

Obok głębokiej boleści spółczesnych, że się nie przedłużył jeszcze dla pożytku i chwały społeczeństwa, dla dobra naukowego, instytucyj, których był filarem, żywot, który się skończył w tej trumnie, budzić powinien w pokoleniu naszem dumę i otuchę. I my mieliśmy naszego Pertza, w stokroć trudniejszych pracującego warunkach, bez pomocy rządów, w szczupłem gronie rozumiejących jego zadania doniosłość, mieliśmy człowieka, który sam jeden wypełnić umiał i sprostać temu, do czego gdzieindziej towarzystwa i rządy się zaprzęgają. Mieliśmy człowieka, którego uznawała Europa uczona, łącząca z polityczną niechęcią i naukową do nas nieufność. Mieliśmy i straciliśmy go — ale pozostała droga którą szedł, aby prostować wiedzą świadomość narodu, aby utrzymywać jego cześć, aby zdobywać uznanie dla siebie i społeczeństwa naszego. Praca jego na tej drodze nie dla wszystkich zapewne — bo różne są zawody ludzkie — ale jedna droga dla wszystkich i wszyscy winniśmy narodowi naszemu pożyteczność dla swoich, pracę około dobrego imienia wobec obcych, winniśmy zdobić na tych obcych wyznanie, że żyjemy — bo pracujemy, żeśmy godni życia, bośmy cześci godni!

Dla najbliższych — dla rodziny, chociaż czującej tę dumę i otuchę, jeszcze to mało dla pociechy! Naprózno też silić o nią, Bóg jest szafarzem, w rękach ludzi tylko współczucie i miłość do tych, którzy ukochani przez nieboszczyka, mieli przecież w sercu

jego, współzawodnika wielkiego, miłość ogółu, miłość narodu.

A teraz jeszcze jedno słowo — od instytucji, która mnie posyła. Z przeznaczenia swego łączy ona w jedność i organizuje prace, przedsięwzięcia, którym jak powiedziałem wyżej, sam podoływał nieboszczyk. Rozumiał to doskonale śp. Bielowski, a między zamiejscowymi członkami nie mieliśmy czynniejszego uczestnika, serdeczniejszego przyjaciela. Za tę przyjaźń i przychylność wielką, o którą tak trudno dla świeżo powstających w społeczeństwie instytucyj, a którą się ceni tem więcej, im o nią trudniej, za tę przyjaźń i przychylność osobne dzięki winniśmy Ci złożyć wobec tysiąców, czczących pogrzeb Twój obecnością swoją! Najgorliwszy wspieracz prac naszych za życia, pozostaniesz po śmierci penatem Akademji polskiej w Krakowie, a pamięć twoja węzłem łączącym usiłowania naukowe Lwowa z usiłowaniami Krakowa!

Ze wszystkich nauk, jakie wykształcił umysł ludzki, nauka dziejów, nauka pracująca od wieków nad uchwyceniem i zestawieniem w żywą całość nieskończoności objawów życia człowieka i społeczeństwa ścisła bo oparta na krytyce świadectw, niby na szeregu dotykalnych doświadczeń, wyzwolona bo granicząca z światem twórczym i odtwarzającym sztuk pięknych, najsilniejszemi argumentami protestować będzie zawsze przeciw bluźnierstwu wieków: przeczeniu nieśmiertelności duszy! Protestować będzie, chociażby wskazaniem owych tysiąca i tysiąca wielkich zasług, wielkich krzywd i wielkich miłości, które w księgach czasu zapisywać jest zmuszoną! Nie! nie! miłości wielkie nie giną, jak nie giną krzywdy i zasługi! Nie gaśnie oko ducha wytężone całe życie ku zbadaniu prawdy, jak nie ustaje miłość, która zdobywała wieńce zasług, aby niemi odkupić winy przeszłości, a wznosząc je czystemi i spracowanemi rękami do góry upomnieć się kornie, aby spłaconem zostało to, co mimo win naszych, wobec naszej ekspiacyjnej pracy krzywdą naszą pozostało! Miłość ta, praca, boleść, poświęcenie były jego osobistą własnością, to był on! i takim pozostanie tam i tutaj, w gronie zmarłych i w gronie żywych, w gronie tych, których dzieje badał i w gronie tej garstki pozostałych, którzy nań jako wodza patrzyli. Garstki tej nie opuścił też on, jak nie opuszcza walecznych drogiego wodza wspomnienie i przykład — on tylko usnął strudzony bojem żywota. Nam uczynić jak owym żołnierzom Francji, co śpiącego marszałka zdobytemi otoczyli sztandary... Zdobycie prawd dziejowych, to jeden wielki, stanowczy krok do zwycięztwa, bo do zwycięztwa nad tem, co w nas samych do życia, odrodzenia przeszkodą... A kiedy za pracą lat i sił młodych wytężeniem rozmoże się ta przeszłości świadomość, kiedy naród żyć zacznie tą wiedzą i wolą przeszłości, jak człowiek, który porachował się z sobą, i czuje czynów swoich wobec Boga i narodu odpowiedzialność: o! czujemy to wszyscy, abyśmy nie czuli w tej uroczystej chwili, że on będzie z nami, on wódz nasz, poważny, uśmiechnięty i radośny! Kolebką nieśmiertelności nazwano ostatnie człowieka mieszkanie, trumna zacnych i wielkich synów ojczyzny jest nie tylko ich nieśmiertelności kolebką, ale tego czemu służyli i kochali! Idźmy za nią w zebraniu ducha i postanowieniach pracy, to powiew na dzień zwycięztwa!!

Literatura.

— Tom IV zbiorowego wydania dzieł T. T. Jeża opuścił prasę i rozsyłka już się rozpoczęła. Tom ten zawiera „Historję o pra-pra-pra-dziadku."

— Dnia 12 bm. wzniesiony został w Filadelfji kosztem zamieszkałych w Stanach Zjednoczonych Włochów, pomnik Krzysztofa Kolumba. Pomnik odsłoniono uroczyście w obecności gubernatora Pensylwanji jenerała Hartrauft i włoskiego posła barona Blanca.

— Niedługo zapewne przed sądami paryskiemi wytoczy się oryginalna w swoim rodzaju sprawa. Zmarły w roku zeszłym książę krytyków, Juljusz Janin, zostawił żonie cały majątek, a z nim razem i bibljotekę, odznaczającą się nietyle może wartością wewnętrzną, ile liczbą dzieł, oraz przepychem typograficznym i introligatorskim. Albowiem sławny krytyk, gdy autorowie prosili go o recenzje dzieł swoich, kładł bez ceremonji warunek, aby mu doręczano egzemplarze książek na najlepszym welinie i wspaniale oprawne; rozumie się, że każdy bez szemrania poddawał się temu warunkowi, mieniąc się wielce szczęśliwym, że za taką cenę mógł sobie zjednać pióro krytyka. Zwyczaj ten był znany powszechnie w Paryżu, i każda drukarnia, umawiając się z wydawcą o druk dzieła, zapytywała, czy ma odbijać lub nie „egzemplarz Janina." Nie potrzebujemy dodawać, że Akademja paryska, przypomniawszy sobie nareszcie, iż Janin, będąc w sile wieku, władał piórem po mistrzowsku, obrała go swoim członkiem wtedy, kiedy krytyk był już na schyłku życia i gonił resztkami wyczerpującego się talentu. Akademje zwykle tak robią. Otóż, przez wdzięczność zapewne, że Akademja uznała słuszność przysłowia: „lepiej późno jak nigdy" — pani Janin w testamencie zapisała Akademji bibljotekę po swoim mężu, zbiór autografów i kilka dzieł sztuki, pod warunkiem, że to wszystko zostanie pomieszczone w sali osobnej, która po wieczne czasy otrzyma nazwę „sali Janina." Akademja znalazła się wkrótce w takiem położeniu jak ów człowiek, co schwytał tygrysa, a nie miał klatki; albowiem mimo usilnych starań, nie można było wyszukać sali odpowiedniej. Pani Janin, mniemając że Akademja nie dba o zapis, odwołała go osobnym kodycylem do testamentu; tymczasem delegat Akademji znalazł nareszcie ową upragnioną klatkę. Jedzie zatem do Passy, zastaje panią Janin chorą i przedstawia jej stan rzeczy. „Jeżeli tak, woła pani Janin, to przybądź pan co prędzej z notarjuszem; zmienię testament i bibljotekę znowu podaruję Akademji." Delegat wraca do Paryża, nazajutrz rano pędzi z notarjuszem do Passy i... zastaje panią Janin na katafalku. Zachodzi więc pytanie: co się stać ma z bibljoteką? czy ją zabiorą krewni, czy otrzyma Akademja? Jest to zawiła kwestja prawna, która już zaprząta głowy sędziów i adwokatów.

Odkrycia i wykopaliska.

— W grocie agtaleckiej pod Koszycami, w ostatnich czasach znaleziono 28 skieletów ludzkich i blisko 40 narzędzi kościanych, które należą do największych osobliwości wśród wydobytych w ostatnich czasach zabytków kopalnych. Kopania w grocie agtaleckiej postępują dalej pod okiem członka Akademji barona Nyary.

— Jeszcze jedna, nierozstrzygnięta próba kierowaniem balonów. Tym razem wynalazca zrzekł się balonu napełnionego gazem węglowodoru, który niedość przedstawia środków dowolnego wznoszenia się lub opuszczania na przemian, a wrócił do systemu pierwszego wynalazcy żeglugi powietrznej Mongolfiera. Balon jego z nazwiskiem *Neizda*, miał się wznosić za pomocą powietrza rozrzedzonego działaniem ciepła, ale przyrząd okazał się niedostatecznym i próba zapowiedziana na wielkim placu przy Avenue Suffren, nie przyszła do skutku. Wynalazca zamierza wprowadzić potrzebne ulepszenia i zapowiedział za kilka dni nową próbę.

— Na polu igrzysk olimpijskich wykopano dotąd podług wykazu urzędowego kanclerstwa niemieckiego: 178 sztuk różnych rzeźb marmurowych, pomiędzy któremi znajdują się szczątki posągów ośm głów lwich itp.; 685 przedmiotów bronzowych; 242 z terrakoty: 174 monet starogreckich i przeszło 800 bizanckich; 79 napisów itp. tak, że obecnie po pięciomiesięcznych kopaniach złożone zostało piękne muzeum z wykopalisk olimpijskich. Koszta, jakie rząd niemiecki dotychczas wyłożył na te wykopaliska, wynoszą 120 tysięcy marków.

— O nowym planecie Wulkanie donoszą dzienniki paryskie: Wszyscy astronomowie, zwłaszcza zaś ci, którzy specjalnie zajmują się badaniem słońca, otrzymali od pana Leverriere z Paryża zaproszenie, ażeby dnia 2 i 3, oraz 9 i 10 października, z szczególniejszą uwagą obserwowali tarczę słoneczną i z wszelką dokładnością pod względem czasu notowali swe spostrzeżenia, niełatwo bowiem dostrzedz planety tak mocno pogrążonego w płomieniach słonecznych, jak domniemany Wulkan, odbywający obieg swój około słońca w znacznie mniejszym kole niż Merkury. Dodają też dzienniki paryskie, że według obliczeń Leverriera, planeta może potrzebować, a po obiegu na około słońca dni 28 lub też 42, w ostatnim wypadku, pojawił by się na tarczy słonecznej dopiero o 14 dni później, a zatem około 24 do 25 b. m., do tego też czasu czekać trzeba na stanowczy rezultat obserwacji astronomów.

Emigracja do Ameryki.'

— Piszą z Krakowa pod d. 9go bm.: Ciekawy a smutny był wczoraj widok trzydziestu przeszło rodzin włościańskich złożonych z paruset osób, licząc w to drobne dzieci i niemowlęta, przejeżdżających tędy z pod Jasła i z Tarnowskiego do Ameryki. Istna z Anczyca „Emigracji Chłopskiej" scena, i aż do szczegółów wiernie powtórzona. Nadaremnie pan Ignacy Żółtowski obywatel tutejszy, oraz nieco obywateli wiejskich obecnych na dworcu, odradzało wychodźcom zaślepionym, że idą na zgubę, nadaremnie jeden z kapłanów zaklinał ich aby zostali, to mu jakaś druga Latysowa z „Emigracji Chłopskiej" odpowiedziała argumentem, że „jegomość przekupiony chyba przez panów." Niektórzy już chcieli nawrócić, zwłaszcza, gdy obiecano im zająć się ich losem i rozmieścić ich po innych wsiach, ale snać byli między nimi motorowie wychodźtwa przez ajentów zapłaceni, którzy odciągnęli wahających się i odpierali, że nieprawdą jest, jakoby wielu z wychodźców chłopskich wracało o żebraczym kiju do kraju. Smutny to a prawdziwy obraz obałamuconego ludu.

Żegluga parowa na Dniestrze.

— Czytamy w warszawskim *Wieku:* Sprawa utworzenia Towarzystwa żeglugi parowej na Dniestrze ma podobno przybrać obrót poważny. Referat odczytany na posiedzeniu miejscowego odeskiego wydziału „Rossyjskiego Towarzystwa Rozwoju Żeglugi," drukuje się obecnie, i o ile wiadomo, będzie rozesłany ziemianom naddniestrzańskim w celu wywołania uwag i rozpraw. Zebrany tym sposobem materjał ma być złożony głównemu zarządowi rzeczonego Towarzystwa, i tam na ogólnem zebraniu sprawa ma się doczekać ostatecznego rozwiązania. Odwołanie się do opinji ziemian naddniestrzańskich tem jest właściwsze, iż ostatnia przedsięwzięta próba zaprowadzenia żeglugi parowej na Dniestrze, zawdzięcza się właśnie owym ziemianom, a zwłaszcza panu Edwardowi Łaskiemu, który w początkach szóstego dziesiątka lat, przy współudziale hr. Zamojskiego i p. Smolki z Galicji, zdołał zawiązać w tym celu odpowiednie Towarzystwo. Jedyny parowiec tego Towarzystwa nazwiskiem „Dniestr," przepłynął w 1864 r. sześć rzeki, lecz z przyczyn niezależnych od założycieli Towarzystwa, żegluga parowa rozwinąć się pomyślnie nie mogła. Losy żeglugi na Dniestrze przechodzą teraz do rąk rossyjskiego Towarzystwa rozwoju żeglugi. Czy je jednak utrzyma, nie wiadomo jeszcze, bo na owem posiedzeniu, na którem wzmiankowany referat był odczytany, dały się słyszeć głosy: aby sprawę żeglugi parowej na Dniestrze poruczyć innemu, a mianowicie rossyjskiemu Towarzystwu żeglugi i handlu i Odeskiej kolei żelaznej. Czy więc Towarzystwo rozwoju żeglugi, czy też Towarzystwo żeglugi i handlu i Odeskiej kolei żelaznej, zaprowadzi żeglugę parową na Dniestrze? nie wiadomo.

Epidemja.

— Zgniła gorączka w Ameryce występuje coraz groźniej. Podług telegramu z Nowego-Yorku d. 24 z. m. okropna ta epidemia z Savannah dostała się już do Brunświku w Stanie Georgii. Sześćset osób zachorowało tam dotychczas, a położenie miasta jest rozpaczliwe.

ROZMAITOŚCI.

— Las silański, odgrywający taką rolę w kalabryjskich legendach, był temi czasami — jak opowiada „Gazetta" neapolitańska — widownią strasznej zemsty bandy Sinardi'ego, która obrała go sobie za główną kwaterę. Dwaj bracia, Allessandro i Michele Granduuotti z Monnati, ściągnęli byli na siebie gniew i nienawiść dwóch bandytów: de Luki i Arnone'go. Nienawiść tę podzielała cała banda, i jeno czyhała, by dać jej wyraz wymowny. Sposobność trafiła się niedawno, gdy wspomnieni bracia zajęci byli w Serra del Mazzo paleniem węgli. Zamordować tylko tych dwóch, nie wystarczyło opryszkom do napojenia swej nienawiści. Posłali więc pasterza do trzeciego brata, don Nicola duszpasterza w Mennato, z wezwaniem jakoby od tamtych braci, by przybył niezwłocznie do Serra del Mazzo. Don Nicola choć zastanowiło go to dziwne poselstwo, ruszył jednak

na oznaczone miejsce, zabrawszy z sobą jeno laskę z toporkiem. Gdy stanął wśród zdumionych braci, zanim wszyscy trzej zdołali zdać sobie sprawę ze zdarzenia tego, zostali przez bandytów otoczeni i pochwyceni; każdego z osobna przywiązali łotry do drzewa i pastwili się nad ofiarami aż do tchu ich ostatniego w sposób tak okrutny, na jaki tylko zdobyć się może wyobraźnia rozbestwionego opryszka.

— Dola zamkniętego w żelaznej klatce króla pustyni jest już sama w sobie twardą dlań i bolesną. Jeśli na dobitek przyjdzie mu znosić ciężkie upokorzenia, jakich np. doznał niedawno lew w zoologicznym ogrodzie w Cincinnati, to cóż dziwnego, gdy nawet to najszlachetniejsze zwierzę poweźmie w ostatku ochotę do samobójstwa. Nieszczęsny ten więzień królewski miał przed kilką miesiącami dwa fatalne przejścia: został zwyciężony przez mizernego osiołka, a potem, o zgrozo, postradał wspaniały ogon, który mu odgryzła sąsiadująca z nim hyena żarłoczna. Szczególnie po tej drugiej katastrofie lew popadł w posępną jakąś zadumę, i począł od czasu do czasu okazywać zagadkowe symptomata, które nic dobrego nie dawały do myślenia. Żałosnem okiem wpatrywał się przez długie godziny w niedogryzek utraconej ozdoby, to znowu z gniewem sam kąsał się i targał w tem miejscu. W obawie by się nie pokaleczył niebezpiecznie, ustawiono koło klatki nieodstępnych strażników, którzy mu w danym razie przeszkodzić mieli. Na koniec intendent ogrodu wpadł na myśl, która w skutkach okazała się nader zbawienną. Zwabiono pognębionego lwa do przytykającej małej klatki i tam poddano ranę systematycznej kuracji. Gdy się zasklepiła, obciągnięto ogon wężą skórą, i wpuszczono pacjenta do dawnej klatki. Teraz zdaje się że jest wcale zadowolonym ze sztucznego przedłużenia kity i jak pierwej przechadza się dumnie z podniesioną głową po ciasnym pałacu.

— W ostatnim dziesiątku lat, skierowano w całym cywilizowanym świecie europejskim szczególną uwagę na Wschód, przedewszystkiem na owe wspaniałe Indje, iście błogosławioną, mlekiem i miodem płynącą krainę. To też dość często spotkać się można po dziennikach zagranicznych z opisami Indyj, bądź to podróżników specjalnych, bądź ludzi, których przypadek albo obowiązek zapędził w tamte kraje. I „Tydzień“ idąc za powszechnym prądem pomieścił był dla czytelników swoich znakomite dzieło o Indjach Tomasza Anquetil'a, francuskiego podróżnika, a o ile zewsząd nam donoszono, dzieło to budziło niezmierne zajęcie i czytelnicy nasi byli nam zań prawdziwie wdzięczni. Z tego wnosimy, że nie od rzeczy będzie, gdy od czasu do czasu podamy na tem miejscu jakiś krótki ustęp, odnoszący się do Wschodu. Dziś np. przytaczamy tu opis audjencji, u władcy Siamu, zamieszczony przez naocznego świadka w jednem z pism zagranicznych: „Indje pierwszy raz przez Europejczyka widziane — pisze on — wydają mu się niby urzeczywistnioną powiastką z „Tysiąca i jednej nocy,“ istnym krajem zaczarowanym, jaki chyba wyobraźnia poety stworzyć sobie zdoła. Z prawdziwie indyjskim przepychem wita cudzodziemca zaraz u wstępu, np. taki Bangkok, obecna stolica Siamu i zarazem rezydencja władcy. Dodać muszę, iż miałem to pozazdroszczenia godne szczęście być wprowadzonym na dwór tego monarchy, gdzie tysiące tak nowych a tak pięknych rzeczy przesunęły się jak w kaleidoskopie przed moim wzrokiem olśnionym. Pewnego popołudnia w miesiącu Marcu, poseł, do którego pocztu należałem, miał na uroczystem przyjęciu złożyć swoje papiery wierzytelne. Ceremonje towarzyszące tej czynności, były tak podniosłe i majestatyczne, że mogłyby zaszczyt przynieść każdemu dworowi europejskiemu. Z mieszkania naszego zabrały nas cztery nadzwyczaj eleganckie kolasy dworskie (białe, żółte i czerwone, bogato złocone.) Zpoceni i znużeni, bo termometr wskazywał 45° Reaumura, zdążyliśmy do bramy królewskiego pałacu, tu zaś straż ustawiona po obu stronach wejścia, zprezentowała nam broń, działa zagrzmiały i banda uderzyła hucznego jakiegoś marsza powitalnego. Niezwykłe wrażenie robi kontrast dziwny: tej mięszaniny jaskrawej, częścią wschodnich, częścią europejskich mundurów z jednej strony, a z drugiej, na poły nagiego tłumu krajowców, spozierającego ku nam ciekawie i lękliwie. Chińczyk, żyd ze Wschodniej Azji, obydwaj zakorzenili się w Siamie, zabrali w swe ręce rolnictwo i handel, a że bogaci, bo pracują, (szczególnie pierwsi) więc znienawidzeni od leniwego Siamczyka. Przez dużą żelazną bramę, wprowadzono nas do wnętrza olbrzymiego, jak gdyby miasto całe, wyglądającego pałacu, i po szerokich wschodach kamiennych dostaliśmy się do wielkiej sali poczekalnej. Ztąd mieliśmy rozległy widok tak na dziedziniec pałacu, jak na obszerny plac przed zamkiem. Za chwilę podano nam cygara i herbatę, i zanim rozpoczęła się właściwa uroczystość, mogliśmy oglądać z okien sali nader ciekawe widowisko. Przed pałacem stała we wzorowym porządku piechota ubrana po europejsku, w czaka i ciemne mundury z czerwonemi wyłogami, atoli rzecz dziwna i śmieszna nieco, bez obuwia. Konnica ubrana w huzarskie uniformy krojem indyjsko angielskim, prezentowała się wcale powabnie, oficerowie jej, wszyscy ludzi młodzi z rodzin szlacheckich, siedzieli na wspaniałych siwoszach australskich. Żar słoneczny rzucał bezustannie palące swe promienie na biednych tych ludzie, gdyż na całym horyzoncie nie widać było ni jednej chmurki, najlżejszy wiaterek nie chłodził powietrza — a mimo to żołnierze trzymali się dziarsko i nie okazywali znużenia, które im niechybnie doskwierać musiało. Wewnętrzny dziedziniec pałacu przypominał nam wymownie, że przebywamy u wschodniego władcy. Gwardja ze słoniów była tu ustawioną, a setki czerwono przybranej młodzieży, z prostemi rogami w ręce, zastępującemi miejsce instrumentów dętych, i z owemi komicznie wyglądającemi bębnami, obleczonemi skórą nosorożca, robiły hałas prawdziwie piekielny. Co chwila przebiegali po szerokich wschodach adjutanci i inni dostojnicy, wszędzie ruch i gwar nie do opisania. Nagle zjawiły się na małem snać umyślnie przygotowanem podniesieniu dwa indywidua, niby heroldzi średniowieczni, i uderzyli w głośne fanfary, których tony przeraźliwe musiały pewnie zaniepokoić słonie i tygrysów w lasach okolicznych. „Król już gotów!“ zabrzmiało zewsząd i za chwilę wprowadzono nas do sali tronowej, która pierwszem wrażeniem żywo przypomina rycerskie sale po zamkach europejskich. U wejścia pochyliliśmy głowy, drugi taki pokłon nastąpił w pośrodku sali, trzeci tuż przed tronem. Obszerna nawa okolona pięknie rzeźbionemi filarami prowadzi do tronu. Przed nim stał suto złocony stoliczek, na którym poseł złożyć miał papiery swoje. Po lewej stronie tronu stali krewni króla i wysocy dygnitarze państwa. Wszyscy przystrojeni byli w siamskie dworskie szaty, składające się z surduta przetykanego złotem, a podobnego nieco krojem do naszego fraka, ze sarung'u, tj. dużej chusty jedwabnej, okrywającej nogi i opiętej podobnie jak pantalony, z jedwabnych pończoch i na koniec również jedwabnych trzewików ze srebrnemi sprzączkami. Na to wszystko kładą jeszcze rodzaj okrycia z delikatnej złotem tkanej gazy. Po prawej stronie tronu ustawili się najwyżsi dowódcy wojskowi, w mundurach z europejska skrojonych, i w takich jak tamci okryciach gazowych. Na dość wysokim tronie szczerozłotym stał król w wojskowym uniformie i również w owem lekkiem, choć kosztowniej niechybnie sporządzonem okryciu, które zapewne jest w Siamie szatą oznaczającą dostojeństwo najwyższe. Król sam jest pięknym, nader inteligentnie wyglądającym młodzieńcem, którego pewnie nie powstydziłby się żaden tron europejski. Jedynie zęby ma nieładne, skutkiem przeżuwania betelu, co ostatnie jak wiadomo, czyni każdy Siamczyk od najbiedniejszego do najzamożniejszego, poczynając już w dziecinnym niemal wieku. Gdy mistrz ceremonji przedstawił wszystkich królowi, poseł złożył na wspomnianym wyżej stoliku papiery swoje. Teraz król odczytał, głosem donośnym i dźwięcznym, odpowiedź swoją, poczem znikł po za tronem. My zabawiliśmy tutaj jeszcze jakiś czas, rozmawiając o tem i owem z panami dygnitarzami, wcale do rzeczy ludźmi. Nadmienić muszę, że przed tą urzędową audjencją, udzielił nam był król prywatnej, podczas której mogliśmy zachowywać się swobodnie, i nie krępowani tutejszą etykietą. Wieczorem jeden z ministrów zaprosił nas na ucztę, tak wspaniałą pod względem doboru jadła i napojów, że niemal zapomnieć było można, iż przebywamy w Bangkok, a nie w Paryżu lub innej stolicy cywilizowanego świata. Podczas uczty wcale znośna banda odgrywała kawałki europejskich kompozytorów — a nawet o dziwo! słyszeliśmy dwa walce Strausa.“

— Kto właściwie odkrył pierwszy Amerykę? Na oko zdaje się śmiesznem takie pytanie, i każdy dzieciak odpowie niechybnie, że nie kto inny, jeno Kolumb. Tak go nauczyli w szkole, tak uczono i nas, a jednak nie bez podstawy powątpiewać wolno, ażali nie wszyscyśmy w tej mierze w błędzie. W świecie uczonych od stu lat panuje na tym punkcie niezgoda. W ostatnich czasach znany Leland zebrał ze skrupulatnością badacza wszystko co tej sprawy dotyczy, i pomieścił w jednem dziele angielskiem pod tytułem „Fusang“ (Londyn.) Z dzieła tego dowiedzieć się można, że już w 18tym wieku Deguignes napotkał w chińskich kronikach wiadomość, że w 400 — 500 lat po Chrystusie podróżnicy chińscy odkryli kraj „Fusang.“ Z wielu skazówek Deguignes wnosił, że mowa tu była o Meksyku. W siedmdziesiąt lat później inni uczeni, którzy zajmowali się tą kwestją, przyszli do przekonania, że w twierdzenin Deguignes'a przecie tkwi cokolwiek prawdy. Wprawdzie w całej Ameryce nie znaleziono ani jednego pomnika, któryby świadczył o przedwiekowej tamże bytności Chińczyków, atoli państwowe annały Chin opowiadają obszernie o pewnym mnichu nazwiskiem Hoei Shin, który w r. 485 po Chrystusie ze „Wschodu“ do Chin powrócił, zwidziwszy w podróży swej kraj „Fusang,“ gdzie znalazł był buddyzm przez pięciu mnichów, jego rodaków, już dość znacznie rozszerzony. Mnisi ci mieli tam zjawić się około 458go roku po Chryst. a pochodzili z „królestwa Kipin“ (Samarkand). Również znachodzi się u jednego z chińskich historyków wiadomość, że w r. 507 pod rządami dynastji Leang, „jeden okręt został przez wiatry zaniesiony ku brzegom nieznanej przedtem wyspy.“ Deguignes, Neumann i inni starali się udowodnić wielkim zasobem motywów przeróżnych, że owego „Fusangu“ nigdzie jeno w Ameryce szukać należy. W sławnej chińskiej encyklopedji „Mantualin,“ stoi uwaga, iż Fusang leży dwadzieścia tysięcy Li tj. mil chińskich, na wschód od Tahan (Alaska albo Jesso.) Leland znowu twierdzi ze swej strony, że Fusang to Peru dzisiejsze, a opiera się na relacji historyków chińskich, że w Fusangu używano dzikich zwierząt do pociągu, co rzeczywiście ze wszystkich krajów w jedynem Peru miało prawdopodobnie miejsce. Zresztą nic nie przemawia za przypuszczeniem Leland'a. Inni zwolennicy tezy odkrycia Ameryki przez Chińczyków, identyfikują Fusang z Meksykiem. To twierdzenie ma już więcej za sobą. Indjanie pueblańscy mają wiele podobieństwa do owych przez mnicha Hoei Shina opisanych mieszkańców Fusangu, również wspomniane przezeń drzewo „fusangowe“ każe domyślać się pod wielu względami aloesu meksykańskiego. Tak w Fusangu jak w Meksyku znano wprawdzie szlachetne kruszce, nie używano ich jednak jako pieniądze. Atoli z drugiej strony są argumenta, przemawiając przeciw Meksykowi. Gdzież są n. p. ślady owego buddyzma fusangowego? Nie znaleść ich nigdzie w całej Ameryce. W Fusang powiada Hoei, używano koni jako zwierząt domowych, tymczasem w Meksyku już za czasów Vespucci'ego konie dawno były zaginęły, co przecie nie byłoby się stało, gdyby one były istniały tamże od tysiąca lat przedtem. Tak więc nie można orzec w tej sprawie nic stanowczo prawdziwego. Klaproth starał się wmówić, że Fusang to Japonja, Bretschneider i inni oświadczają kategorycznie, iż cała opowieść o Fusangu, była wierutną bajką, w którą mnich filut ubrał łatwowiernych a ciekawych nowości rodaków swoich. Który z nich ma słuszność, wypowiedzieć niepodobna, gdy zważymy, że źródeł do zbadania tej tak ciekawej sprawy niezmiernie mało, a z drugiej znowu strony zbyt są one podejrzane, by służyć mogły badaczowi za niezachwianą antytezę.

Treść Nr. 8.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).